Nr. 27. Warszawa, dnia 24 Czerwca (7 Lipca) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

W *Gazecie finlandzkiej* ogłoszono następujący Manifest Najwyższy:

Z BOŻEJ ŁASKI

MY, MIKOŁAJ DRUGI,

CESARZ I SAMOWŁADCA WSZECHROSYJSKI,

Król Polski, Wielki Książę Finlandzki

itd. itd. itd.

Ogłaszamy niniejszem: Po włączeniu Wielkiego Księstwa Finlandzkiego do składu Cesarstwa Rosyjskiego, z woli Błogosławionej Pamięci Cesarza Aleksandra Pierwszego zostało postanowione stopniowo wprowadzenie do czynności w zarządzie kraju języka rosyjskiego, jako głównego. Zamiar ten Monarszy, wypływający z troski o ugruntowanie jedności państwowej, dotąd nie został wykonany wskutek niedostatecznego rozpowszechnienia w Finlandyi języka rosyjskiego. Celem usunięcia tej trudności przedsiębrano rozmaite środki i jeszcze ostatnimi czasy znajomość języka państwowego uznano za warunek obowiązkowy dla pozyskania wyższych urzędów w kraju. Obecnie, uznając za rzecz na dobie nadać językowi rosyjskiemu należne mu znaczenie w stosunkach urzędowych i w czynnościach władz rządowych Wielkiego Księstwa, poruczyliśmy rozważyć tę sprawę Osobnej Naradzie, w tym celu przez Nas utworzonej. Wnioski, złożone przez Naradę, odpowiadające Naszym zamiarom, określają wykonanie ich stopniowe, stosownie do właściwości przedsięwzięcia. Jednocześnie wzięte zostały pod uwagę potrzeby osób prywatnych, którym i nadal zapewniono możność zwracania się do władz urzędowych w języku ojczystym z równą swobodą, z jaką posiłkują się tym językiem w życiu społecznem i prywatnem. Zatwierdzając wskutek tego wnioski Osobnej Narady, Rozkazujemy:

I. Sekretaryatowi stanu Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, kancelaryi generał-gubernatora finlandzkiego i ekspedycyi paszportowej finlandzkiej od d. 18 września (1 października) 1900 roku załatwiać sprawy i prowadzić korespondencyę wyłącznie w języku rosyjskim.

II. Cesarskiemu senatowi finlandzkiemu (w wydziale gospodarczym) od d. 18 września (1 października) 1900 r. przedstawienia najpoddańsze w oryginale, zarówno jak i oryginale odezwy i papiery wychodzące w stosunkach z generał-gubernatorem, sporządzać w języku rosyjskim. W razie potrzeby do oryginałów czynności wspomnianego departamentu senatu dołączać przekłady rzeczonych przedstawień, odezw i papierów w języku miejscowym. Od d. 18 września (1 października) 1903 r. załatwianie spraw w senacie i ekspedycyach tegoż (oprócz departamentu sądowego), zarówno pisemne, jak ustne prowadzić w języku rosyjskim, z zachowaniem warunków następujących: a) dokumenty oryginalne spraw dotyczące mogą być odczytywane w tym języku, w jakim były sporządzone, b) przy wydawaniu odpisów orzeczeń senatu mogą być załączane, wskutek podań interesowanych, przekłady szwedzkie lub fińskie wspomnianych orzeczeń; c) przewodniczących na posiedzeniach senatu, w ciągu lat 5 od wspomnianego wyżej terminu, upoważnia się do zezwalania członkom senatu na składanie wyjaśnień ustnych w językach szwedzkim lub fińskim.

III. Zarządom głównym, zostającym w zawiadywaniu Cesarskiego senatu finlandzkiego oraz gubernatorom, zarówno jak zastępującym ich osobom urzędowym i rządom gubernialnym od d. 18 września (1 października) 1905 r. porozumiewać się z władzami, po nad niemi stojącemi, jako to: z generał-gubernatorem, senatami i innemi — wyłącznie w języku rosyjskim.

IV. Władzom rządowym Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, do których czynności wprowadza się język rosyjski, przyjmować i nadawać ustanowiony bieg podaniom osób prywatnych, kreślonym w jednym z języków miejscowych.

V. Podania i papiery w języku rosyjskim przyjmować we wszystkich władzach rządowych Wielkiego Księstwa Finlandzkiego (Rozkazy Najwyższe z d. 3 grudnia 1866 r. i d. 4 kwietnia 1887 r.).

Podania te i papiery, w razie potrzeby, tłomaczyć na język miejscowy trybem, określonym w Rozkazie Najwyższym z d. 3 grudnia 1866 r.

VI. Władzom właściwym, pod kierownictwem i nadzorem generał-gubernatora finlandzkiego, w porę przedsięwziąć, trybem określonym, środki ku postawieniu, na terminy wyżej wspomniane, składu osobistego władz podwładnych w takie warunki, jakie są niezbędne dla pomyślnego wprowadzenia języka rosyjskiego do czynności i korespondencyi tychże władz.

Na oryginale własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

„MIKOŁAJ."

W Peterhofie,
d. 7 (20) czerwca 1900 r.

Minister sekretarz stanu *Plewe*.

Ukaz Najwyższy

do Senatu Rządzącego.

W nieustannem dążeniu do utrwalenia w guberniach Królestwa Polskiego wykształcenia młodzieży w duchu państwowości rosyjskiej, uznaliśmy za dobre zaopatrzyć przedstawiciela wyższej władzy miejscowej w bardziej skuteczne środki dla ścigania w wymienionych guberniach nauczania tajnego. Na skutek tego, zgodnie z przedstawieniem Komitetu Ministrów, rozkazujemy:

Rozciągnąć na gubernie Królestwa Polskiego skutek Najwyżej zatwierdzonych z dnia 3 kwietnia 1892 r. przepisów czasowych o karach za tajne nauczanie w guberniach zachodnich przy uwzględnieniu następujących postanowień:

1) Wytaczanie spraw z tytułu tajnego nauczania wkłada się w guberniach Królestwa Polskiego na dyrekcyę naukową.

2) Wymierzanie przewidzianych przez te przepisy kar należy do warszawskiego Generał-Gubernatora.

3) Pieniądze, otrzymane od winnych, obracane być mają z postanowienia kuratora okręgu naukowego na zapomogi dla niezamożnych uczniów wyższych klas gimnazyów i seminaryów nauczycielskich warszawskiego okręgu naukowego.

4) Porządek stosowania wymienionych przepisów pozostawia się porozumieniu

kuratora okręgu naukowego warszawskiego z General-Gubernatorem warszawskim.

Senat Rządzący da odnośne rozporządzenie w celu wykonania niniejszego.

Na oryginale Własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano

MIKOŁAJ.

Dan w Carskiem-Siole
d. 26 maja 1900 r.

Przepisy te, wydane pierwotnie dla gubernij: Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej, Mohylewskiej, Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej orzekają:

1) Za założenie i utrzymywanie bez pozwolenia władzy szkoły jakiegokolwiek rodzaju, winni skazani będą na grzywny do wysokości 300 rb. albo trzech miesięcy aresztu; tej samej karze podlegają osoby, które popierały bądź urządzenie potajemnej szkoły, bądź samą naukę, ofiarując mieszkanie na szkołę, pomoc naukową, albo wszelką inną, zapłatę za naukę, albo udział w zarządzie szkoły lub nauczaniu.

2) Tejże karze podlegają osoby, posiadające prawo nauczania w domach prywatnych, jeżeli okażą się winne nauczania zbiorowego, bez pozwolenia władzy, dzieci kilku rodzin, albo obcych dorosłych osób u siebie w domu lub domach prywatnych."

(„Zbiór pr. i rozp.," 1892, nr. 39).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Obchód 500-lecia *Wszechnicy Jagiellońskiej.*

Wiem, że sprzeciwia się zwyczajom *Prawdy* rzucanie rozdźwięcznego głosu w uroczyste obchody z nastrojem podniosłym nawet wtedy, kiedy one dają jakiś powód do nagany. Dlatego dziś dopiero, po umilknięciu ostatnich ech obchodu krakowskiego, zapisuję kilka uwag krytycznych na marginesie jego kroniki.

Po za granicami chorobliwych niezadowoleń ze wszystkiego, co się robi i dzieje, nie było chyba jednej uczciwej duszy, któraby pięćsetnej rocznicy uniwersytetu Jagiellońskiego odmówiła uzasadnionych praw do szacunku. Instytucya naukowa, która wstąpiła do służby cywilizacyjnej tak wcześnie, która ją długo spełniała tak pożytecznie i która przetrwała w niej tyle wieków, zasługuje na cześć powszechną. I rzeczywiście złożono jej dowody hołdu lub uznania ze wszech stron, nie wyłączając nawet lekkomyślnym językiem reporterów zelżonego uniwersytetu lipskiego. Znając z wielu smutnych i wstrętnych doświadczeń metodę urządzania obchodów publicznych przez tę krakowską *mafię* polityczną, która ku wielkiej szkodzie współczesnych a zdumieniu potomnych ciągle jeszcze reguluje bieg życia polskiego i mąci go swoją moralną zgnilizną, byliśmy przygotowani na to, że piękna i zacna pamiątka wyjdzie z rąk Stańczyków skaleczona, zatruta i nastrzyknięta tym płynem, którego oni stale używają do balsamowania trupów. I rzeczywiście tak się stało, chociaż do pewnego stopnia tylko w założeniach i chęciach tego zabójczo-grabarskiego cechu. Nie będziemy tu z tajnych kurytarzów jezuityzmu wydobywali wszystkich pułapek i przebiegów, zapomocą których usiłowano jednych oszukać, drugich usunąć, innych skrycie pogłaskać a jawnie uszczypnąć, lub odwrotnie, a w ostatecznym celu jeszcze raz stwierdzić swoje przewodnictwo i z szerokiego, wspaniałego płaszcza uroczystości wykroić dla swego stronnictwa lokajsko - żokiejskie kurty. Zaznaczymy jedynie kilka cech i momentów, które charakteryzują jego zabiegi i bądź co bądź odcisnęły się wyraźnie na całym obchodzie.

Kto z poważnym umysłem i wrażliwom sercem przeczyta ogłoszony w pismach dyplom nadawczy Kazimierza Wielkiego, będący kamieniem węgielnym wszechnicy krakowskiej, ten musiał doznać głębokiego zdziwienia i wzruszenia. Tyle rozumu, tyle podniosłości uczuć, takiej dbałości o dobro wiedzy, o jej mistrzów i uczniów, dla których starto ostre kanty praw, rozluźniono węzły krępujących ustaw, ażeby bezpiecznie i swobodnie mogli uprawiać naukę, którym stworzono warunki, zapewnione ledwie w naszym wieku i to wyjątkowo, taki wyniosły i dostojny pomnik dojrzałości kulturalnej nie został w mowach jubileuszowych należycie oświetlony i uczczony. „Dilectus filius," który bądź dla dogodzenia swej gadatliwości, bądź dla odebrania głosu innym prawił ciągle — na placach publicznych, w kościołach, salach biesiadnych, po łacinie, po polsku, niemiecku, francusku, włosku, angielsku, który tak wielką przywiązywał wagę do swych toastów, że wygłaszał je kolejno aż w czterech językach, ten pirotechnik pospolitej frazeologii wypuszczał ze swych ust rozmaite stańczykowskie rakiety, ale nie umiał, czy nie chciał uderzyć czołem przed majestatem wielkiego faktu historycznego. Jego słowa nie biły poważnym dźwiękiem 500-letniego dzwonu, ale brzęczały dźwiękiem tych dzwonków, które pasterze zawieszają na szyjach krowom, ażeby je można było odnaleźć podczas mgieł na pastwiskach górskich. Mniej pamiętał o tym, który w 1364 r. troskliwą ręką ojcowską rozniecał dla swych dzieci wielkie ognisko dla oświecenia i ogrzania ich dusz, niż o tych, którzy dziś pozwalają tleć iskrom w starym popiele. Były to arye tem bardziej odrażające, że niezupełnie szczere. Gdy „dilectus filius" klęka ustawicznie przed arcykapłanem, można przypuścić, że swój pokory, przynajmniej dotąd, nie udaje; ale

W zaciszu.

W piękny dzień słoneczny, zdala od miasta szukam odpoczynku. Przyzwyczajony do gwaru miejskiego, staję u krawędzi lasu, spoglądam na zatopione w świetle pola i pytam:

— Po co ta cisza? Komu ona i na co się przyda?

Przyzwyczajony do tego, że każdy łokieć kwadratowy powinien zysk przynosić, patrzę na niezmierzone obszary i myślę:

— Tyle przestrzeni pod zbożem, które za miesiąc grad wytłucze.

Wydaje mi się, że łany zielone zanadto się rozpostarły, że urągają cywilizacyi, która, żeby mikroskop zbudować, musi ziarno po takiej przestrzeni rozrzucić.

— Za cicho tu i za dużo wolnego miejsca. To nie miasto!...

A ja jestem mieszczuchem, nieobytym z wielką przestrzenią, niedającym sobie rady z nadmiarem powietrza i światła. Nie mam dziedzicznego do pól i łąk pociągu, gdyż ojciec mój sprzedawał buty a dziad—męzkie ubranie i nigdy z miasta nie wyjeżdżali. Nie uczuwam też potrzeby powrotu do ziemi.

Mnie te pola, ten las pachnący, to słońce wszechbarwne interesują nie jako coś mojego, lub coś, co mojem było,- lecz wprost odurzają, wlewając w żyły moje tęgość, z której się w sercu pewność siebie wytwarza. Aż się lękam tej śmiałości i nie wiem, co z nią począć.—Lękam się, gdyż opuszczać mnie zaczyna wszystka czujność i staranność wielkomiejska, a jakiś głos mi szepce:

— Nie obawiaj się, nie potrzebujesz pozować, gdyż tutaj żadnego interesu nie załatwisz...

Czuję na sobie tchnienie głębokiej piersi lasu sosnowego, który z siebi aromat wysyła, przyjmując od słońca pokarm świetlany. Spoglądam w głąb: całe gromady pni stoją spokojnie jeden obok drugiego.

— One udają chyba! To niemożliwe, ażeby tyle istnień mogło żyć w takiej zgodzie. One tam, w głębi o coś walczą i otaczają się niebieską mgłą, kurzem leśnym. Pobliskie drzewa skrępowane obecnością moją, udają tylko zgodę!

Tak własną skłonność do udawania na naturę przenoszę i zdaje mi się, żem w tej ciszy leśnej fałsz podpatrzył. Więc rozglądam się dokoła z pewną nieufnością. Ja, który w mieście ustawicznie przed czemś bronić się muszę tak, iż wyrobiłem w sobie cały zasób ukłonów, próśb i uśmiechów obronnych, — tutaj, gdzie nic mi zgoła nie grozi i nic nie krępuje, pytam:

— Czyżbym tu właśnie dał się komu skrzywdzić, czyż właśnie tutaj wróg zaskoczy mnie znienacka?

Więc czekam na coś... Ziemia tymczasem wysyła skowronka na kąpiel słoneczną. Ptaszyna mknie w górę, jak wiatraczek z piór, a ja myślę sobie:

— Gdybym mógł tak się od ziemi oderwać—nie wróciłbym...

W tej chwili ptaszek spadł, jak kamień, i stopniał na trawie. Podniecona promieniami słońca ziemia pieni się zielenią traw, kipi rojami stworzeń maleńkich, które przewracają się w powietrzu, jak w ukropie i okapują na ziemię. A wszystkie te twory potrącają jakieś struny niewidzialne, bo słyszę muzykę, która ma tę dziwną własność, że się nie zbliża i nie wzmaga, ale nie ustaje ani na chwilę: tylko trzeba uwagę skupić, żeby ją usłyszeć.

— Nic mi się nie stanie, — pomyślałem,—położę się.

Mam teraz nad głową sklepienie bez rozety i haka na lampę, więc oczu nie zamykać, nie trzeba tylko patrzeć w to ciepło, w to światło, w tę wysokość.

Już miasta nie potrzebuję. Ciepło, barwy i przestrzeń przejęły mnie nawskroś, pozabijały we mnie laseczniki dobrego interesu, mikroby użyteczności, solitera ambicyi. Leżę oto szczęśliwy, na wszelkie straty obojętny, syt i zadowolony z widoku, który mam nad sobą i po bokach.

Gdy tak leżę, przebiegła koło mnie chuda krowa, którą chłopak prętem leszczynowym po bokach smagał. Bił raz po raz. Nieruchawość krowy sprawiła, że słabo odczuwałem ból, jakiego pod batem doznawała, to też w pierwszej chwili czekałem, kiedy też chłopak z bydlęcia galopa wy-

gdy ten psalmista tańczy przed austryacką arką przymierza, odtrącając nawet posążek z węgla kamiennego Jagiełły, przyniesiony na uroczystość przez górników szląskich, wiemy na pewno, że kłamie. Partya tak samolubna, tak niesumiennie i łupieżczo wyzyskująca ogół dla swych interesów, tak wyzuta z instynktów społecznych i mierząca wartość wszelkich położeń i stosunków tylko skalą swojej korzyści, nie jest zdolna być ani kochającą córką, ani pewną sojuszniczą. W wiarołomnych też jej oczach dawno już można było dostrzedz spojrzenia, zdradzające pohopność do przeniewierzenia się temu lojalizmowi, który ona ogłasza za naczelny dogmat swej wiary politycznej. I podczas gdy ta zeznająca spekulantka jednem okiem czuli się do obecnego swego pana, drugiem wdzięczy się do innych, których równie umiłować, a przy sposobności równie oszukać gotowa.

„Trochę za dużo światła“ — skarżyła się pewnemu korespondentowi warszawskiemu jakaś dama krakowska podczas odsłonięcia posągu... Kopernika. W tej szczególnej skardze, wyrażonej w tak szczególnem miejscu nie ukrył się bynajmniej symbol obchodu. Za dużo światła tam nie było. Ani jeden profesor wszechnicy krakowskiej, ani jeden z uczonych polskich nie wspomniał o tegoczesnych zadaniach czczonego przybytku wiedzy. Wystawiono mu świadectwo, że kiedyś „rozpraszał mroki,“ że „nie przeniewierzył się Bogu, krajowi i własnej czci,“ że zawsze był posłusznym synem Stolicy Apostolskiej (co jest nieprawdą), ale dopiero dwaj cudzoziemcy: Suess z Wiednia i Osthoff z Heidelberga przypomnieli obecnym o swobodzie i niezależności badań, o tem wielkiem posłannictwie, które spełniać powinny wszystkie uniwersytety, a więc i Jagielloński, on może bardziej od innych, bo przed wieloma zapalił w Europie pochodnię nauki. To przeoczenie nie było przypadkowem ze strony mężów po stańczykowsku ubarwionych lub pręgowanych. Oni w świątyni, której główny ołtarz przeznaczony był przez Kazimierza, Jagiełłę i czcigodną jej żonę dla nauki, stawiają żłoby, kramy, gilotyny, tortury, stosy, trybuny agitacyjne, różne sprzęty i przybory frymarki faryzejskiej, ale nie mównice czystej mądrości, która jeśli tam żyje, to tylko w norach, jak myszy kościelne.

Przed obchodem uwijali się po niej zakrystyanie z kapturkami na kijach do gaszenia światła; oblewano ściany cetrem dla obniżenia temperatury; syczały: tst! pst!, uciszając gwar głosów. Pomimo wszakże takiego znieczulenia wrażliwości i ostudzenia zapału, że — według jednego ze sprawozdawców — „Morfeusz dzierżył berło w teatrze“ na pobudzającem przedstawieniu, nastrój uroczystości samą siłą wspomnień związanych z dziejami szkoły Jagiellońskiej, podniósł się po nad miarę wyznaczoną mu przez Stańczyków. Zgodnie z programem, „dilectus filius“ zalewał ogień falami swej wielojęzycznej gadaniny, ale wodze wymykały się ciągle z rąk mafii krakowskiej. Sprowadzono gromadkę chłopów, zgarnięto ze szkół trochę dzieci, dano miejsce mieszczaństwu, słowem pokazano, że Noe uratował dla świata trochę więcej gatunków ludzkich, niż panów galicyjskich wraz z ich służbą. Dzięki temu z pamiątki pięćsetlecia wszechnicy Jagiellońskiej trysnął snopeczek promieni. *Krakowiak.*

UNIWERSYTET KRAKOWSKI.

Wspomnienie.

III.

Studium generale zaczęło tedy żyć, a żyć mogło, bo mu zostawiono zupełną swobodę ruchów. Z zewnątrz nic go nie ścieśniało; wytwarzało świat w sobie zamknięty. Najzupełniejszy samorząd średniowieczny był duszą wznowionego uniwersytetu. Jeżeli istniały więzy, to wewnętrzne, raczej spójnie organicznego ładu, niż pęta z zewnątrz narzucanych porządków. Instytucya była osobą moralną, mającą swój własny rząd i sąd, swą własną, swoistą zdolność rozwijania się od wewnątrz a czerpania z zewnątrz tych sił i środków, jakichby do takiego, życie zapewniającego rozwoju potrzebować mogła. W zakresie umysłowym sama uzupełniała się przez promocye, odświeżała swoje ciało nauczycielskie, swój mózg, a ciągłym dozorem nad jednostkami do ciała tego należącemi podtrzymywała mózgu swego sprawność. W zakresie materyalnym, pieniężnym prawo, a wyraźniej jeszcze i skuteczniej, zwyczaj, szanowany przez następujące po sobie pokolenia, zaopatrzył Akademię w całą sumę uprawnień, potrzebnych jednostce wielo- czy jedno-osobowej do majątkowego istnienia i rozrostu. A jak własnym tylko rozumem i miłością wiedzy odświeżać mogła i pomnażać swe siły nauczające, tak własną też ofiarnością najwięcej dla siebie samej w zakresie materyalnym uczyniła. I jest to może najjaśniejsza strona jej historycznego przejawu. Wobec długiej listy zapisów, dokonanych przez samych profesorów na trwałe zaspakajanie przeróżnych potrzeb Akademii, człowiek nowożytny, daleko od średniowieczności odbiegły, nie może bez szacunku odejść od tych dawnych, średniowiecznością nawskroś przejętych nauczycieli, dzielących się z instytucyą skromnem najczęściej mieniem, zostawiających jej nieraz na sobie samych, na odmawianych sobie wygodach uciułane oszczędności całego żywota. Drobne *peculia* złączone razem — na dzisiejszą wartość wytwarzają miliony — a ogół funduszów instytucyi w XVIII wieku w kapitale wyobraża ogromną sumę sześciu milionów złotych — w teoryi, bo, niestety, nie w praktyce. Zapisy królów, biskupów krakowskich, jakby naturalnych opiekunów instytucyi, są małymi pagórkami wobec tych uczuciowy podziw wzbudzających wyżyn, na jakie wzbił się umiał samorząd, pojmowany i wykonywany jako samoistność przez wyborowe, jedną choćby tylko

---

trzepie. Tymczasem pręt mu się złamał, a matowy odgłos uderzeń grubszego trzonka podziałały na moje uśpione przez naturę nerwy, i już miałem z interwencyą wystąpić, gdy tuż z po za mnie wypadł na brzeg lasu stary chłop z krzykiem:

— Jak ty mi tu będzies, psie nasienie, pasał, to ja ci popasę kijem po plecach, bez tydzień se nie wyskrobies, — a psubrat!

Usiadłem i zacząłem się chłopu przyglądać. Miał w oczach błyskawice gniewu, lecz widząc, że zbiega nie dogoni, splunął, pogroził w jego stronę i rzucił pomiędzy drzewa spory drąg, którym z łatwością chłopakowi głowę, a krowinie rogi mógł od jednego uderzenia odtrącić. Nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi — tak przynajmniej sądziłem,—tylko patrzył w stronę szkodnika.

— Jak to, psie mięso, trawe tłuce! A bycel, mało mu swego!

Raptem zagabnął mnie:

— Cyś to i pan tutaj do pomiaru gruntu wysłany?

— Ja, nie, ja tu odpoczywam tylko.

— Pewnikiem pan ze dworu?

— Nie, przyszedłem z miasta.

— Psoprasam, bom se myślał... o tam idzie omętra, więc myślałem, ze pana ze dworu do pilnowania... a pan ino tak, wedle luftu.

Spojrzałem w bok: rzeczywiście o kilkadziesiąt kroków geometra wraz z wyrostkiem wiejskim ciągnęli stalowy rozkręcony pomiędzy dwoma drążkami pręt. Zbliżyli się do lasu i prawie jednocześnie wbili w ziemię kostury z połyskującą taśmą.

— No, trzydzieści!—zawołał zmęczonym głosem geometra i coś zanotował.

Chłop zbliżył się do taśmy i przykucnąwszy, pociągnął po niej palcem.

— Musi ta obręc krótsa, niż dawne łańcuchy: tamtego roku wypadło na tym łanie mniej.

— Oj, stary gospodarz, a głupi, czy też udaje, przecież to taki sam pręt.

— No, jaści ja wiem, ze pan omętra nie chce źle, ale dyć to, jak wąz, nawet nie widać, gdzie lezy, nawet miary na tem nie znać.

— Nie bójcie się, ociec, czy to ten działek wy kupujecie?

— A no, niby tak, prose łaski pana i zeby tak mniej wypadło, tobym łatwiej kupił, żeby pan tak był łaskaw przypuścił...

— Jakże ja mogę ludzi krzywdzić, rzekł geometra, zerknąwszy na mnie.

— Juści ja niczyjej krzywdy nie chcę, ino ze...

Roześmiał się niby do chłopaka, który stał przy drugim kosturze, niby do tej myśli, którą chciał wypowiedzieć, a która nie dała się jakoś wyrazić.

Geometra usiadł na ziemi i ciężko oddychał. Wyciągnął z pod czapki chustkę, która mu kark od słońca chroniła i otarł spocone czoło.

Błyszcząca taśma stalowa bezwładnie leżała na trawie, a ważka polna, latając nad nią w lekkich podskokach, jakby sprawdzała, ile też łokci ma ten pręt nowego systemu.

— Ładne zacisze?—zwrócił się do mnie geometra

— O tak, panie, tu chciałoby się o całym świecie zapomnieć.

— Czy pan nie ze dworu?

— Nie, panie, ja tu przyszedłem z miasta, żeby odpocząć.

— Naturalnie, mieszczuch może tu znaleść odpoczynek, ale ja nie.

— A dopiero co pochwalił pan to zacisze?

— Ale pan to chyba jest adwokatem?

— W istocie jestem prawnikiem.

— Odrazu poznałem, daję słowo, łapie pan za słowa. Owszem pochwaliłem zacisze, ale jak szewc buty. Ale czy pana rzeczywiście nic z tutejszym dworem nie łączy?

— Nic, panie, dlaczego panu o to chodzi?

— Chodzić nie chodzi mi tak dalece, bo mnie nic nie wzrusza, prócz roboty, ale gdy się rozgadam, lubię mieć do czynienia z bezstronnym słuchaczem. Może pan nie chce rozmawiać?

— Dlaczegóż nie, owszem.

— Widzi pan, o tym odpoczynku, niech będzie o odpoczynku. Filozoficznie biorąc... bo ja jestem geometrą i zarazem filozofem. Za te pięć klas, które skończyłem, jestem dziś geometrą, a za resztę— filozofem. Jak pan widzi, jest we mnie pewna nieskończoność, która filozoficznie nastraja. Naprzykład: dajcie mi taki łańcuch, że-

stroną odczuwania bytu i oddziaływania na byt zalecające się jednostki. Nie brakło ich w ciągu trzech wieków upłynionych do ponurej epoki saskiej; ale nie brakło też i nikczemnych, rozszarpujących co inni zebrali: a że zawsze złe działalność swoją większym zakreśla promieniem, więc niegodziwość dopomogła niezaradności i niedołęztwu do zubożenia Akademii szybciej, niż ją wzbogaciła była uczciwa wola zapewnienia jej przyszłości. Uwierzyć trudno, a nie wierzyć niepodobna, jakie ubóstwo przytłaczało milionową fundacyę wtedy, gdy przebijano jej mury, aby ją na nowożytnych zasadach urządzić i, wypędzając zaprzałość i stęchliznę — wpuścić do wnętrza jej światło nowego wieku.

Węzły wewnętrzne były nadzwyczaj ściśle. Profesor, czy uczeń, każdy miał obowiązek mieszkać w murach oddanych na użytek Akademii i mieszkanie na mieście było tak jednym jak drugim wzbronione, z wyjątkiem medyków, którzy też właściwie nie wytwarzali zrzeszenia wydziałowego, byli najmniej liczni i najgorzej uposażeni. Mieszkania były internatami. Profesorowie mieli je w kolegiach, uczniowie w bursach. I jedni i drudzy zasiadali do wspólnego stołu: miała stół wspólny nawet służba. Oczywiście, w czasach wielkiego napływu uczniów powódź przerywała tamy: w końcu XV w. nieskończenie więcej młodzieży mieszkało na mieście, niż w internatach. Do wspólnego mieszkania i wspólnego stołu przybywała wspólna modlitwa, w kościele i w *contubernium*, przybywały wspólne obchody i wystąpienia publiczne. Jak pod całą działalność naukową, tak pod całe życie potoczne podścielała się religijność obowiązkowa, na wspólnem spełnianiu obrzędów wyznaniowych polegająca. Profesorowie byli przeważnie księżmi, a wśród uczniów nietylko wydziału teologicznego sposobiący się do stanu duchownego lub rzeczywiście już duchowni stanowili pokaźny zastęp. Dany charakter ciała nauczycielskiego podtrzymywały zapisy, darowizny i nadania władzy politycznej lub duchownej, na uposażanych stanowiskach wymagające koniecznie księży. Ogromna liczba fundacyj obejmowała *jura stolae*; przywiązana była do odprawiania mszy; składała się z altaryi, aniwersarzy, kanonikatów, kancelaryatów, prebend i prawa prezenty na beneficya.

Trzy były kolegia: większe (*majus*), mniejsze (*minus*) i prawnicze (*juridicum*). W drugiej połowie XV w. powstało na krótkie istnienie *collegium novum*; medyczne istniało więcej w nazwie samej, niż w rzeczy. Każde miało osobny budynek, a raczej zbiór budynków: Większe, najstarsze, kolebką instytucyi będące, było najobszerniejszem, a jako gniazdo wiedzy najruchliwszem. Tu odbywały się najważniejsze wykłady, tu zamieszkiwali najstarsi profesorowie. Pierwotnie przeznaczone dla samych teologów, bardzo rychło ujrzało w swych murach filozofów, *artistae*, jak ich wówczas zwano i można powiedzieć, po przejrzeniu szacownego *liber diligentiarum*, który wydał Wisłocki, że teologia, dawszy się filozofii prześcignąć w XV w., w następnym jeszcze nie zdołała się przed nią wysunąć. W kolegium Większem mieszkało od 10—13 teologów i 7 lub 8 filozofów, w tej liczbie czterech królewskich, na etacie funduszu królewskiego pomieszczonych. Największą salę w budynku, na pierwszem piętrze, mieli na wykłady swoje teologowie; w sześciu innych rozpościerała się filozofia. Z nazw pierwotnych w XVI w. utrzymały się: Ptolomeusza, Marona (Wergiliusza), Arystotelesa, Sokratesa i Galena; szóstą nazywano *prope valvam* (blizko drzwi). W sali Galena odbywały się rzadkie, mało uczęszczane wykłady medyczne; niekiedy, w razie gwałtownej potrzeby, korzystali z kolegium większego, prawnicy. Tu, w tych najdawniejszych murach uniwersytetu krakowskiego odprawiano habilitacye, próby, ćwiczenia i co sobota staczano dysputy publiczne dla uzupełnienia działalności nauczycielskiej.

W kolegium Mniejszem, o trzydzieści trzy lata późniejszem od większego, wykładało i mieszkało od 12—14 filozofów. Nazwa ta podwójnie mu się należy: i jako budynkowi i jako uczelni. Uczono tu mniej i w mniejszym zakresie, niż w kolegium Wielkiem; profesorowie mniej mieli i kwalifikacyj i godności; przeważnie i najpilniej uczyli bakałarze. Zdatniejsi przechodzili do kolegium większego lub prawniczego. Katedry nie były ściśle ustalone, sześć tylko miało wyraźnie wskazane przedmioty. Każda nosiła nazwę fundatora, który ją uposażył—a uposażenia były nizkie, pobór ich kłopotliwy; obsadzali je profesorowie z kolegium Wielkiego. Budynek zrazu drewniany, dopiero w r. 1475 kolegiaci *minores* zamienili na dom murowany, dawną Bursę Bogatych, w sąsiedztwie kolegium Wielkiego. Wtedy też nadano kolegium Mniejszemu statuta i przepisano programata.

W kolegium Prawniczem miało obowiązek mieszkać i wykładać ośmiu profesorów, składających sztab tego wydziału. Wiadomości o nim są szczupłe, jak i o samych wykładach. W wieku XV mieścili się w tem kolegium dwaj profesorowie medycyny, lecz tylko chwilowo i więcej w przepisach, niż w rzeczywistości.

Nad każdem kolegium stał przełożony (*praepositus*), z władzą nader łagodnie ograniczoną; dwu konsyliarzów przybocznych ułatwiało mu funkcyonowanie.

Uczniowie mieszkali w bursach pod zwierzchnictwem prowizorów, seniorów—dozorców wogóle, wybieranych lub wyznaczanych przez uniwersytet. Rektor był najwyższym zwierzchnikiem. Takich *contuberniów* burs liczono dwanaście: najgłówniejsza Jagiellońska, dla ubogich, stąd *Bursa pauperum*. Oleśnicki założył bursę Jeruzalemską, Długosz — wyłącznie dla prawników, Noskowski—dla filozofów. Istniały bursy: niemiecka, węgierska, czesk... W XV w. nie były to czcze tylko nazwy; końca XVI w. wszakże internaty te nie doczekały.

(D. n.).

Z NIEMIEC.

Lipsk, 8 lipca.

Wyższa szkoła handlowa. — Telegram senatu akademickiego.

Najdzielniejsza krzewicielka postępu, wiedza, w miarę rozwoju cywilizacyi, coraz szerszy obejmuje widnokrąg, coraz głębiej sięgają jej zbawienne promienie; coraz to dalsze wyprowadza ona warstwy, na widownię kulturalnego życia społecznego. Do widocznych wszędzie dążeń uspołeczniających, do pracy nad uświadamianiem członków społe-

---

bym mógł ziemię opasać, to, to — no, jak się panu zdaje? To go sprzedam na funty i kupię sobie dom w Warszawie. — Nie, nie, panie, mam w sobie trochę uczciwości. Tylko że ja się tu w polu nie mogę moją uczciwością napawać, bo mi się wszystko przed oczami przemienia w pręty, za które mi płacą. Dopiero, gdy pojadę do Warszawki, a pójdę panu do Rozmaitości na balkon, albo na co takiego, to mi się błogo robi i odpoczywam. Wie pan, co mi się zdaje? Gdyby ludzie pracowali na jednej półkuli a odpoczywali na drugiej, gdyby to było możliwe, ziemia stałaby się do połowy rajem, do połowy śmietnikiem. Z tego też względu jeżeli pan tu chcesz odpocząć, ja powinienem się wynieść; jeżeli ja chcę tu mierzyć, pana usunąć powinienem. Bo niech pan tylko zauważy z łaski swojej: pan się tu najniewinniej położył i nikomu nie zawadza, ale przychodzę ja i pytam: czy nie jesteś pan wypadkiem ze dworu? Ja, mierząc tutaj grunta, poprostu nie mam zaufania do pańskiego odpoczynku. To jest, ja to nie do pana stosuję, tylko ogólnie, bo cóż mnie tam mogą takie rzeczy obchodzić, czy pan ze dworu, czy nie; jak robię swoje, to o niczem innem nie myślę, tylko o robocie. Ale zawsze... Albo naprzykład: panu się podoba ten zielony łan, ta pustka nęci pana, a ja panu powiem, że tu onegdaj przy tym kopcu było tak ciasno, taki gwałt, że jednemu chłopu dwa żebra pękły. Ale co tu gadać! Niech pan spróbuje wyrwać ten oto stary kołek z dawnego płotu i zechce z nim jakie dwieście kroków zrobić, zaraz pana ktoś zatrzyma. Wreszcie, niech pan nic nie rusza, bo to wszystko cudze — bardzo pięknie — i niech pan raczy tylko patrzeć, ale mojemi oczami: Oto lasek. Należy on do dwunastu chłopów. Ja, panie, wiem, ile tu ma dębów Wojtek Piętak, a ile już wyrąbał Antek Gemuła. Mnie te drzewa męczą, a przynajmniej nudzą. Tu, panie, w każdej gałęzi suchej tli się jakaś kłótnia, jakaś zapowiedziana bitwa; może z powodu tych wiórów, co tu leżą, dwaj gospodarze będą się cały rok po sądach włóczyli. A słyszał pan dopiero co? Przecież ten drągal prosił mnie, żebym „przypuścił.“ Uważa pan, przypuścić mu z cudzego, a sam nie da własnej trawy uskubnąć bydlęciu?...

— A rzeczywiście — przerwałem mówiącemu.

— Co, czyż nie prawdę mówię?

— Ależ tak, przed chwilą widziałem, jak ten sam chłop wypędzał stąd krowę i wymyślał chłopakowi.

Mówiąc to, zerknąłem na rzucony przez chłopa drąg, w którym tliła się stanowczo zapowiedziana bitwa.

Spojrzałem uważniej na geometrę: miał w oczach zadowolenie człowieka, który czuje, że przekonywa.

— Tylko niech pan, broń Boże, nie pomyśli czasem, że ja na chłopów wymyślam, bynajmniej. Pilnują swego i mają racyę, chcieliby trochę cudzego — i w tem racyi nie mają, ale mają chęć, która w ich tłomaczeniu często na racyę wygląda. Mnie nie chodzi o chłopów, tylko o to, że ja, geometra, nie mogę tu prawdziwego odpoczynku zaznać. Dwanaście lat mierzę: całe upodobanie, cały pociąg do wiejskich widoków wlazł mi w nogi, więc odpoczywam wtedy, gdy buty ściągnę i nogi na łóżku wyprostuję. Patrz pan, w tych dwóch pedałach mieści się cały powiat, co? To też mnie ciągnie coś do miasta, chociaż ojciec mój i dziad mieli majątki ziemskie i gospodarowali. Daj mi pan dziś folwark, to go zaraz na kamienicę przefajnuję i będę chodził codzień do Rozmaitości, do krzeseł, naturalnie.

Roześmiał się szczerze ten filozof, a ja podniosłem się z ziemi. Wtedy on spojrzał na zegarek i krzyknął:

— Gwałtu, chłopak, kostur w łapę, wracamy do drogi, dalej! No, do widzenia z panem.

— I ja już pójdę w swoją drogę.

— Hm... trzeci raz mam ochotę zapytać, czy nie do dworu — chociaż wierzę panu, że nie...

Rozstaliśmy się. Nie uwierzono tu w mój odpoczynek.

Tadeusz Ulanowski.

czeństwa, wiedza w pierwszym rzędzie przykładu rękę. Widzimy to na każdym kroku, a dziś pomówimy o zastosowaniu tej tendencyi do stanowiska i dążeń jednej grupy społecznej, a mianowicie kupieckiej. Dziś coraz bardziej utwierdza się przekonanie, iż nie wystarczą egoizm klasowy, ani uzdolnienie fachowe do walki o byt w zakresie swojej grupy, że należy nietylko odczuwać swą łączność społeczną z innemi grupami, ale ją rozumieć i stosować. Owe tendencye ku uspołecznieniu handlowców zrealizowały się w Niemczech w postaci nowo założonej wyższej szkoły handlowej w Lipsku. Nie brakło i dotychczas dobrych szkół fachowych dla kupców w Niemczech, być może nawet, że nie jedna szkoła pod względem ściśle fachowym i obecnie wyżej stoi od uniwersytetu handlowego, ale brakło dotychczas owej kulturalnej myśli społecznej w tych szkołach, brakło tej chęci uczynienia z uczniów nietylko zdolnych członków stanu kupieckiego, ale także członków społeczeństwa. Chodzi o to, aby kupiec mógł znać nietylko bilans swego interesu, ale i bilans społeczeństwa i aby w miarę możności i potrzeby kupiec ów potrafił okroić bilans swój na korzyść bilansu społecznego. Jednem słowem przez podniesienie poziomu intelektualnego oraz etycznego uczynić kupca świadomym mechanizmu społecznego, jakiego jest niezbędną śrubą uczynić go zdolnym do sięgania wzrokiem po za egoizm swej grupy. U nas sfera kupiecka przedstawia pod pewnymi względami dość niską kulturalnie grupę. Mamy tu na względzie przedewszystkiem nie samodzielnych kupców, lecz handlowców zależnych, pracujących po biurach, kantorach, różnych przedsiębiorstwach, a rekrutujących się przeważnie z młodzieży. Pomijamy już, że u nas nie może być mowy o tem abyśmy posiadali kupców przeciętnie tak wykształconych zawodowo, jak Niemcy, gdyż nie mamy, ewentualnie nie mieliśmy, szkół odpowiednich. Ale wobec trudności, jakie napotyka się u nas przy kształceniu się, wobec najłatwiejszych szans zarobkowania, jakie daje handel, każdy, kto tylko nie mógł lub nie chciał iść dalej, rzuca się na kupiectwo. Nie wielka jest liczba tych, którzyby posiadali chociaż średnie ogólne wykształcenie, a o wyższem już nie ma mowy. Tak więc handlowcy rekrutują się przeważnie z ludzi nie przejętych wyższą humanistyczną kulturą, z ludzi, u których uczucie łączności społecznej spoczywa uśpione, a natomiast egoizm klasowy jest wyrafinowany. I rozpoczyna się też zaciekła pogoń za złotym ideałem. Cóż z tego wynika? Zapewne, że dla społeczeństwa tylko wielka strata. Aczkolwiek nie wątpimy, że z czasem w miarę rozwoju i u nas klasa kupiecka z konieczności wejdzie na inne tory, sądzimy jednak, że możemy tę chwilę przyspieszyć. Za przykład mogą nam służyć Niemcy.

Rok rocznie pewna ilość młodzieży naszej udaje się za granicę dla studyów handlowych. Otóż chcielibyśmy zwrócić jej uwagę na nowo założoną wyższą szkołę handlową, gdyż da ona jej nietylko wykształcenie zawodowe ale również wyższe wykształcenie ogólne.

Wyższą szkołę handlową w Lipsku (Handelshochschule) należy odróżniać od „Handelsacademie," których jest mnóstwo w Niemczech: została założona w lipcu 1898 roku.

Wykształcenie, jakie uniwersytet chce dać swym słuchaczom dzieli się na ogólne oraz fachowe.

Przedmioty fachowe obejmują: buchalteryę, korespondencyę w języku niemieckim oraz prace biurowe, arytmetykę kupiecką w bardzo szerokim zakresie, języki obce: francuski, angielski, włoski, oraz korespondencyę w tych językach, oprócz tego można w uniwersytecie brać lekcye stenografii oraz pisania na maszynie. Na ostatnim semestrze urządzono t. zw. „Muster Kontor." Są to zajęcia praktyczne, obejmujące całą dziedzinę przedmiotów handlowych, prowadzone pod przewodnictwem profesora, jednem słowem — prowizoryczny kantor kupiecki, w którym każdy ze studentów inną spełnia funkcyę. Jest to nader korzystne ze względu na lepsze obznajmienie się z praktyką już podczas studyów.

Przechodzimy do przedmiotów ogólnych, które wykładają profesorowie uniwersytetu. Wykłady odbywają się w uniwersytecie i obejmują następujące przedmioty: ekonomia polityczna w jak najszerszym zakresie, z wszystkimi poddziałami; historya ekonomii politycznej, historya handlu; prawo handlowe; prawo wekslowe oraz morskie; geografia handlowa. Oprócz tego polityka handlowa, kolonialna, prawo międzynarodowe. To są, że tak powiemy, trzy główne grupy. Każda z nich jednakże łączy się mniej lub więcej z innemi dziedzinami, z których wykładów słuchać należy.

Wobec rozległej dziedziny, jaką obejmują powyżej wyliczone przedmioty, wydaje się nam kurs dwuletni zbyt krótkim. Po dwu latach można przystąpić do egzaminu dyplomowego. Egzamin ten jest państwowy, publiczny, odbywa się pod przewodnictwem urzędnika państwowego oraz komisyi. Egzamin jest ustny i piśmienny. Warunki przyjęcia takie, jak na uniwersytecie; w zasadzie upoważnia do wstąpienia świadectwo dojrzałości, przyjmowani są również mający prawo do jednorocznej służby wojskowej, a przytem odbywający praktykę kupiecką.

Gdy piszemy niniejszą korespondencyę w Lipsku, tedy zwrócić musimy uwagę na jedną kwestyę, która w ostatnich czasach zaprzątała tu blizko sfery uniwersyteckie. Ku swemu zdziwieniu oraz zmartwieniu wyczytaliśmy w *Kuryerze warszawskim* piorunujący artykuł, zwrócony przeciwko rzeczywiście potępienia godnemu, brutalnemu wystąpieniu senatu akademickiego, który jakoby miał nad zaproszeniem Krakowa na obchód jubileuszowy przejść do porządku dziennego i zawiadomił o tem urzędowo uniwersytet krakowski! Czy to rzeczywiście miało miejsce? Nie chcemy bynajmniej bronić poszczególnych tutejszych profesorów, którzy biorą udział w wstrętnym tańcu hakatystowskim, lecz, aby uniwersytet jako instytucya mógł tak brutalnie podeptać wszelkie elementarne zasady taktu i godności, tego by było już za wiele! Po bliższem zbadaniu tej kwestyi okazało się, że uniwersytet lipski wysłał na obchód krakowski depeszę, która brzmiała dosłownie: „Ces. król. Uniwersytetowi w Krakowie w 500-tną rocznicę jego istnienia uniwersytet w Lipsku przesyła najszczersze życzenia. Ponieważ uniwersytet krakowski w tych pięciu wiekach swej działalności wszechstronnie i skutecznie w rozwoju wiedzy współdziałał, na wielką liczbę znakomitych uczonych, którzy doń należeli, spoglądać może i stała zasługa w szerzeniu kultury we wschodnich krajach Europy mu się należy, tedy niechaj przyszłość tej szkoły-jubilatki obfitą będzie w błogosławieństwo, dla jej własnego dobra, jako też dla dobra wiedzy i ludzkości. — Lipsk, 2 czerwca 1900 r. Za senat akademicki: Kirchner."

A. R.

WYSTAWA PARYSKA.

Paryż, 28 czerwca.

(Charakter ogólny).

Zanim rozpoczniemy szereg artykułów o różnych działach wystawy paryskiej, ze szczególnem uwzględnieniem działu społeczno-ekonomicznego, pedagogicznego i artystycznego, musimy dać ogólny rzut oka na jej organizacyę, porównywając ją z poprzedniczkami.

Pierwsza wystawa przemysłowa w nowożytnem znaczeniu tego wyrazu, nie będąca zwyczajnym jarmarkiem, na którym sprzedawca i nabywca, stykając się osobiście, szukają bezpośredniego wzajemnego zaspokojenia potrzeb, lecz będąca przedewszystkiem celową organizacyą reklamy i współzawodnictwa, systematycznym zbiorem próbek — dla nabywców, a szkołą poglądową udoskonaleń i wynalazków— dla wytwórców; pierwsza taka wystawa odbyła się, jak wiadomo, po Rewolucyi francuskiej i jest jednym z charakterystycznych objawów, świadczących o podstawowem przemysłowo-mieszczańskiem zabarwieniu całego ruchu ówczesnego. W r. 1798 minister spraw wewnętrznych Dyrektoryatu, Franciszek de Neufchâteau, zapatrując się, jak wieść niesie, zarówno na doroczne wystawy artystyczne, które malarze francuscy urządzali już od r. 1648, jak na powodzenie wystawy przemysłowej w Pradze 1791 r., urządził takąż wystawę w Paryżu, która trwała dni trzy, a zgromadziła 110 wystawców; nagród rozdano 23. Napoleon skwapliwie przyjął ten pomysł w dziedzictwie po-rewolucyjnem i w latach 1801, 1802 i 1806 urządził wystawy, z których trzecia trwała już 24 dni, kosztowała 60,000 fr. i zgromadziła 1,422 wystawców, przyczem wystawy te coraz bardziej pozbywały się charakteru nagromadzania kuryozów, a stawały się poprostu wystawami normalnych, tylko o ile możności najlepszych produktów różnych gałęzi przemysłu. Naturalnie też powstała myśl peryodyczności wystaw: Napoleon zamierzał urządzać je co trzy, królowie Restauracyi co cztery lata. Faktycznie odbyły się wystawy w latach 1819, 1823, 1827, 1834, 1839, 1844, wreszcie w r. 1849, rosnąc ciągle pod wszelkimi względami; czas trwania tej ostatniej, urządzonej przez rząd drugiej rzeczypospolitej, doszedł już pół roku—*maximum*, które nie było przekroczone prawdopodobnie dlatego, że pora zimowa nie nadaje się do przechowywania i zwiedzania lekkich budowli tymczasowych. Zgromadziła ona 4,2[illegible] wystawców, a koszt jej wyniósł już dziesięćkroć tyle, co w r. 1826 — 600,000 fr.

Wszystko to były wystawy krajowe, wyłącznie francuskie. I pomysł jednak wystaw międzynarodowych należy do rewolucyjnego mieszczaństwa francuskiego: podał go Touret, minister handlu drugiej rzeczypospolitej. Co prawda, idea jego, oparta i na motywach humanitarno-filozoficznych, wyprzedziła rozwój ekonomiczny, bo wielcy przemysłowcy francuscy, nie rozumiejąc jeszcze jej doniosłości ekonomicznej, takiego narobili hałasu z obawy przed konkurencyą cudzoziemców, że rząd musiał cofnąć się i poprzestać, właśnie w r. 1849, na wielkiej wystawie krajowej; ale wyżej rozwinięty przemysł angielski przyswoił sobie inicyatywę ideologa, która stała się w ten sposób jedną z dźwigni naszego rozwoju przemysłowego — i pierwsza wystawa międzynarodowa odbyła się, jak wiadomo, w Londynie 1851 r. Pospieszyły z naśladownictwem Dublin, New-York, Monachium, wreszcie w r. 1855 i sam Paryż. Wtedy zaszedł dość ważny fakt, który pozwala zmierzyć poniekąd postęp idei przemysłowych i zrównania w opinii publicznej różnych rodzajów pracy: artyści po raz pierwszy przestali gardzić towarzystwem przemysłowców na wystawach i zgodzili się wspólnie z nimi ubiegać o względy nabywców dla swych rzeźb i obrazów. Potem już następuje cały szereg wystaw, zarówno krajowych, prowincyonalnych i specyalnych, których wprost zliczyć niepodobna, jak międzynarodowych i powszechnych, które stały się normalnym objawem życia przemysłowego. Przypomnijmy pokrótce, że

te ostatnie odbyły się w r. 1862 — w Londynie, (dała w części sposobność do założenia Międzynarodówki); 1867 — w Paryżu: 1871 i 1874 — w Londynie, 1873—w Wiedniu, 1876 — w Filadelfii, 1878 — w Paryżu, 1879 — w Sydney, 1880 — w Melbourne, 1883 — w Amsterdamie, 1888 — w Barcelonie i Brukseli, 1889 — w Paryżu, 1891 — w Moskwie.

Wkrótce po ostatniej wystawie paryskiej rozeszła się pogłoska, że rząd niemiecki zamierza urządzić wystawę na granicy dwóch stuleci, w r. 1900, u siebie w Berlinie. Lecz rząd francuski postanowił ubiedz Niemcy i dlatego to już w r. 1892, z inicyatywy ministra handlu, Juliusza Roche'a, prezydent rzeczypospolitej, Carnot, podpisał dekret, ustanawiający wystawę powszechną na r. 1900 w Paryżu. Osiem więc lat trwały przygotowania — bo zaraz wtedy mianowano komisyę przygotowawczą, złożoną z 50 członków pod przewodnictwem mianowanego wkrótce potem komisarzem generalnym Alfreda Picarda, inżeniera i prawnika zarazem, oraz referenta generalnego wystawy poprzedniej. W r. 1894 ogłoszono wypracowany przez niego regulamin, a zarazem konkurs na plan ogólny. Ze 108 projektów nagrodzono 23, ale nie przyjęto żadnego w całości, tylko, powołując ich autorów do pomocy, ułożono na ich zasadzie plan nowy, starając się zużytkować wszystkie ich zalety częściowe.

Notuję ten i temu podobne szczegóły, ponieważ chodzi mi, między innemi, o to, aby dać wyobrażenie, jak powstaje dzisiaj takie olbrzymie dzieło użyteczności publicznej w zakresie przemysłowym. O rozmiarach jego może dać pojęcie suma 120 milionów fr., wydana na zbudowanie wystawy przez rząd, miasto Paryż (po 20 mil.) i nabywców bonów wystawowych, nie licząc przedsiębiorców i uczestników prywatnych. W r. 1855 koszt ten wyniósł 11½ mil., w 1867 — 52 mil., w 1878 i 1889—po 55 milionów. Aby dać pojęcie o ogromie pracy powszechnej, na wystawę zużytej, dodajemy tu jeszcze, że oficyalny tylko udział 36 państw obcych (w 1889 r. monarchiczne państwa europejskie nie brały udziału z powodu jubileuszu Rewolucyi francuskiej) daje się obliczyć na jakie 50 milionów; jaki zaś może być stosunek kosztów przemysłowców wystawiających do kosztów rządów, można mniej więcej wnosić stąd, że w Niemczech określają go w przybliżeniu jak 20 do 6 (mil.).

Dzieło to wykonane zostało właściwie w przeciągu jednego roku, bo dopiero na wiosnę 1899 zaczęły się roboty na gruncie, obejmującym przestrzeni 108 hektarów, nie licząc na drugie tyle wymierzonego anneksu w Vincennes, poświęconego konkursom sportowym, lokomotywom i wagonom, domkom robotniczym; pierwsza wystawa w r. 1792 obejmowała 2,300 metrów kw.; wystawy napoleońskie poprzestawały skromnie na podwórzu Luwru, lecz i w r. 1889 zajęto tylko 94½ hektarów. Ale od r. 1896, kiedy parlament zatwierdził budżetową stronę wystawy, prowadziły się roboty przygotowawcze, które polegały nietylko na robieniu planów, równaniu wybrzeży Sekwany itp., ale przedewszystkiem na rozrzucaniu sieci po całym kraju, na rozpuszczeniu mnóstwa nici, mogących połączyć z ośrodkiem wystawowym każdego, komuby na tem zależało lub na kimby zależało. Trzy tysiące członków komitetów rozpoznawczych i 17,000 członków komitetów departamentalnych, mianowanych przez ministra handlu i prefektów, pełniło tę pierwszej wagi czynność. Na samej wystawie, koło jej budowy, liczba robotników, pracujących *jednocześnie*, nie przewyższała nigdy 3—4 tys.: bardzo niewiele było siły żywej, stosunkowo do wprowadzonych w grę funduszów— siły skrystalizowanej, stosunkowo też do wykonanego dzieła.

Oto bowiem na obu brzegach Sekwany, na całych ogromnych placach Pola Marsowego, Trocadera, esplanady Inwalidów, wznosi się prawdziwe miasto w mieście, złożone ze stu kilkudziesięciu budynków. Większość, prawda, to tymczasowe budy drewniane, ale niejedna ma pod deskami żelazny szkielet, a wszystkie— na deskach niezliczone sztukaterye i ozdoby mniej lub więcej artystyczne; pamiętajmy też, że dwa pałace sztuk pięknych przy nowej alei (Cesarza Mikołaja II) i wspaniały most (Aleksandra III), prowadzący z alei tej na esplanadę Inwalidów, zbudowano trwale i pozostawiono już na stałe, jako pamiątkę po wystawie, tak jak pozostawał zburzony teraz właśnie Pałac Przemysłu po r. 1855, jak pozostają jeszcze pałac Trocadero po r. 1878, a wieża Eiffla i galerya maszyn, te pomniki tryumfu żelaza i inżenieryi—po 1889. Miasto owo ma cały swój odrębny rząd, złożony z siedmiu departamentów pod komisarzem generalnym (sekretaryat, eksploatacya ogólna, architektura i ogrody, ulice i oświetlenie, mosty, finanse, strona prawna), oraz komisyi doradczej ze 135 członków, wszelkiego rodzaju specyalistów, nie wyłączając uczonych i dziennikarzy, ma swą specyalną prasę — ze 20 rozmaitych organów; swe własne wewnętrzne środki komunikacyi: chodnik ruchomy, kolejkę elektryczną, rampy ruchome z dołu na pierwsze piętro, fotele na kółkach. Do pewnego stopnia odzwierciedla ono mikrokosmicznie sam ogólny charakter Paryża. Brzeg lewy Sekwany, gdzie wznoszą się przeważnie szkoły wyższe, mieszkają uczeni, poświęcony jest i na wystawie głównie dziełom poważnym myśli i rąk ludzkich: całe Pole Marsowe jest jedną dzielnicą przemysłową miasta-wystawy, lecz pałacom Mechaniki, Chemii, Środków lokomocyi, Metalurgii, Przemysłu włóknistego, Elektryczności, Rolnictwa i Przemysłu spożywczego towarzyszy tam także dział wychowania i nauczania, świadczący o tem, że wiedza jest duszą przemysłu.

Esplanada Inwalidów — to także owoce wiedzy, ale zarazem i sztuki stosowanej do przemysłu, bo mają tam swe pawilony i pałace wszelkie gałęzie produkcyi, dotyczące zewnętrznej, a jeszcze bardziej — wewnętrznej strony mieszkania ludzkiego. Na prawym zaś brzegu mamy przeważnie środki uciechy i zabawy. Naprzód, naprzeciwko esplanady z jej sztuką stosowaną, dzielnica sztuki pięknej, nieutylitarnej. Dalej, przy t. zw. „ulicy Paryskiej," uciechy mniej wzniosłego charakteru, dzielnica teatrów i szopek artystycznych, dzielnica kwiatów także. Wreszcie, koło Trocadera, dzielnica egzotyczna, kolonialna, gdzie subtelny smakosz pójdzie rozkoszować się japońszczyzną, ale szlachcic polski, filister niemiecki i angielski purytanin — szukać będzie tańca brzusznego. Oczywiście taka linia graniczna po Sekwanie nie może być ściśle przeprowadzoną; na prawym brzegu stoi pałac kongresów i ekonomii społecznej, pawilon m. Paryża; a gdzie mamy zaliczyć międzynarodową dzielnicę — „ulicę Narodów" (pawilony państw obcych); do jakiej kategoryi — odbudowę „starego Paryża" i kilkadziesiąt „atrakcyj," rozsypanych po całej wystawie i nawet jej „przedmieściach," ulicach sąsiednich? Między „atrakcyami" temi dużo jest pospolicie jarmarcznych, ale o ogóle słusznie powiedziano, że stanowią one narzędzie popularyzacyi wiedzy (23 przenosi gościa do obcych krajów), jakby „naukową zabawką" dla tłumu.

Sprawa rozgatunkowania przedmiotów wystawowych oraz związany z nią rozkład topograficzny, są zawsze najtrudniejsze na każdej wystawie. Co do pierwszej, to opiera się ona, we Francyi przynajmniej, już od r. 1867, na pewnym systemie logicznym, którego ogólne zarysy pozostały niezmienne, a szczegóły się doskonalą. W raporcie do prezydenta rzeczypospolitej, poprzedzającym regulamin z r. 1894, komisarz generalny, Picard, tak motywuje wprowadzony przez siebie podział wystawy na 18 grup a 121 klas: „Na czele — wychowanie i nauczanie; wprowadzają one człowieka do życia, są źródłem wszelkiego postępu. Najszlachetniejszym dziełom geniuszu ludzkiego, sztukom pięknym, drugie miejsce; trzecie — narzędziom i technice ogólnej nauki, literatury i sztuki. Dalej — wielkie czynniki produkcyi współczesnej: mechanika, elektryczność, inżenierya i środki komunikacyi. Z kolei gałęzie przemysłu dotyczące owoców ziemi, jej powierzchni i jej wnętrza: rolnictwo, ogrodnictwo, leśnictwo, rybołówstwo, jedzenie; górnictwo. Dalej — to, co ma związek z mieszkaniem; to, co z odzieniem, tuż — przemysł chemiczny. Osobną grupę stanowi ekonomia społeczna, czyli instytucye, mające na celu polepszenie społecznego bytu ludzi, a z nią idzie ręka w rękę — hygiena i dobroczynność. Kolonizacya, czyli rozszerzanie się całej powyższej cywilizacyi, stanowi po raz pierwszy także grupę zupełnie odrębną: wreszcie zamyka szereg grupa wojsk lądowych i morskich, których posłannictwem jest strzedz dóbr, „zdobytych pracą pokojową."

Nie chcemy, oczywiście, wdawać się w krytykę tej klasyfikacyi, w której spora doza empiryzmu miesza się jeszcze z pewną względnie konsekwentną mieszczańsko-postępową filozofią społeczną; filozofii tej, która sama przez się jest charakterystyczną i ciekawa, jako objaw, możnaby, rozumie się, przeciwstawić inną, a wraz z nią — i inną klasyfikacyę widomych produktów czynności ludzkich. Ale nie jest to dziś naszem zadaniem. Obecnie zakończyć chcemy tę bardzo ogólną charakterystykę wystawy uwagą o innej trudności: zastosowania rozmieszczenia faktycznego okazów do klasyfikacyi zasadniczej. W r. 1867 i 1878, gdy wystawy zajmowały przestrzeń znacznie mniejszą, a przeto przestrzeń ta mogła być jednolitą, komisarze generalni, Le Play i Krantz, próbowali rozmieszczenia naprzód koncentrycznego, potem w równoległoboku, takiego, aby widz, idąc jednym obwodem albo wzdłuż jednego pasa, spotykał okazy jednej i tej samej grupy, a idąc od środka do obwodu lub wpoprzek równoległoboku — kolejne grupy jednego państwa. Już w r. 1889, a tem bardziej obecnie, ogrom, a zatem i nieregularność zajętej przestrzeni, zmusiły do porzucenia tego systemu. Groziło nawet wystawie zupełne rozstrzelenie, gdyby nie myśl nowa i bardzo dobra, polegająca na tem, że w każdym dziale postarano się ustawić obok siebie produkt sam oraz jego tworzenie czyli, o ile można, cały proces fabrykacyi od materyału surowego, prócz tego zaś umieszczono muzeum retrospektywne przemysłu, fabrykacyi i produktów z całego stulecia, nie w jednem miejscu, lecz przy każdym dziale. Ta nowość, która wielce ożywia wystawę i robi ją bardziej pouczającą, byłaby niemożliwa, gdyby nie jak najszersze zastosowanie elektryczności, jako środka przenoszenia siły poruszającej na odległość. W pałacu Elektryczności na Polu Marsowem wytwarzana siła przenosi się za pomocą tysięcy drutów do wszystkich punktów wystawy, roznosi światło oraz wprawia w ruch najrozmaitsze motory. Całość wytwarzanej siły wynosi 40,000 koni parowych, z tych połowa pracuje jednocześnie. Jeszcze raz da nam dobitne pojęcie o rozmiarach teraźniejszej wystawy następujące zestawienie porównawcze: w r. 1855 — 350 koni parowych, w 1867— 525, w 1878 — 2,500, w 1889 — 6,500.

Według powszechnego zdania, to właśnie zastosowanie elektryczności na niebywałą dotychczas skalę z jednej strony, z drugiej — niezwykłe również dotychczas bogactwo działu społecznego, stanowią

charakterystykę i odrębność wystawy obecnej.

Ta właśnie druga, społeczno-ekonomiczna strona, będzie głównym przedmiotem naszych dalszych artykułów.

K. Radosławski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Jeden z cudów naszego świata.

Pytanie: czy ziarnko piasku jest cięższem od kuli ziemskiej — nie zawiera bynajmniej takiej niedorzeczności, jakby z pozoru można mniemać. Każdy reporter odpowie wam: to zależy od ziarnka piasku... Może się bowiem zdarzyć taki wypadek, w którym ono nabiera szczególnego znaczenia, czyli — jak się dziś mówi — „aktualności," w którym przewyższa wszystko swą wielkością. Czy rąbek wyspy, położonej pod 78 stopniem przy biegunie południowym jest wycięty zębato, czy też zaokrąglony równo, bez tej wiadomości można spokojnie spać, trawić i rodzić porządnych obywateli kraju; ale czy rąbek spódnicy przepisanej na sezon letni ma taką lub inną formę, bez tej informacyi niepodobna znaleźć się w porządnem towarzystwie. Macie dom do wynajęcia na letnie mieszkanie? Przynajmniej znacie takich, co go posiadają... Czy zauważyliście w tych szczęśliwcach oznaki wielkiej dumy i przeświadczenia, że są właścicielami skarbów narodowych? Nie? Dziwilibyśmy się temu bardzo, gdyby nam ich skromności nie objaśniało przypuszczenie, że tu świadomość nie została jeszcze obudzona magicznem słowem, a raczej piórem reportera. Spróbujcie mu pokazać dziurawy worek, zwykły, gospodarski, poszarpany worek. Wiecie, co on z niego zrobi? Napisze: u pana X. w Y. urodziły się tak wielkie kartofle, że zamiast w workach — zwożone są w płóciennych siatkach z ogromnemi okami; wzór takiej pomysłowej siatki obejrzeć można wystawiony w oknie kantoru naszego pisma.

Tak się przeistacza worek. A cóż dopiero mówić o wygodnym domu na letnie mieszkanie, zwłaszcza z wodociągiem itd.! Wtedy ta prosta kombinacya cegieł i desek zamienia się na przybytek sławy narodowej. Czy może jeszcze nie rozumiecie, co znaczą obszerne traktaty w dziennikach o... Skolimowie? Jeżeli się znajdzie ktoś tak niedomyślny, niech zobaczy, jakie reporterzy zjadają czasem śniadania.

Zamiar Bartka.

Czytanie pism rozpaliło fantazyę Bartka Cudaka z Grzywnej Woli. Postanowił on nieodmiennie wyjechać na swym wozie z piętnastorublowym koniem do Paryża i zawiadamiać telegramem ziomków o tej swojej podróży, a zwłaszcza o wytrzymałości zaprzęgu. Na wszelkie zarzuty baby i sąsiadów odpowiada.

— A czem to mój wóz i szkapa gorsze od tego samobiega, o którym codzień zawiadamiają, czy cały lub czy mu się co zepsuło? Toć i ja potrafię telegrafować: lonik mi wyskoczył z osi, sprawię sobie nowy, szczebel w drabce się nadłamał, wstawię inny: podkowa odleciała — każę przybić drugą. A jeżeli dojadę do Paryża bez żadnej naprawy — to będzie galanto!

Bartek Cudak ma niewątpliwie słuszność. Samochodów jest u nas najwyżej dziesięć, więc doświadczenie z ich wytrzymałością jest dla nas sprawą bardzo drobną; tymczasem wozów posiadamy miliony, zatem byłoby bardzo ważnem sprawdzić, czy one i w jakim stanie dojadą do Paryża. Tyle się zatraca pieniędzy na „specyalne" i „własne telegramy," że doprawdy warto byłoby ofiarować Bartkowi kilkanaście bochenków chleba, parę funtów słoniny, tuzin śledzi i z pięć rożków sera, niech się puści na wędrówkę przez Europę i zbogaci naszą wiedzę wynikami próby daleko ciekawszej, niż biuletyny o stanie zdrowia samochodu.

Jeszcze w sprawie p. Przezdzieckiego.

Krytyczne uwagi nasze nad akcyą ratunkową, przedsiębraną przez p. P. i jego przyjaciół, znajdują sobie wyznawców i w obozie konserwatywnym. W najnowszym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* kronikarz uznał za stosowne skarcić separatyzm wyznaniowy w słowach następujących: „Sądzimy, że wyłączność ta jest niepożądaną, zwalczać bowiem należy zło społeczne, które dotyka wszystkie warstwy, bez względu na ich stanowisko i wyznanie. Prostytucya, jako klęska moralna, odbija się na całokształcie życia dzisiejszego, szczepiąc zepsucie i zwyrodnienie, zarówno w duszach chrześciańskich, jak i w niechrześciańskich. Chcąc ją tedy zwalczyć przy pomocy towarzystw wyznaniowych, należałoby jednocześnie założyć trzy lub cztery Towarzystwa dla każdego z więcej rozpowszechnionych wyznań, gdyż inaczej praca będzie tylko cząstkową. Instytucya nawskroś humanitarna, jaką z natury rzeczy jest powyżej wymienione Towarzystwo, nie powinna mieć takich ograniczeń, nie powinna ani zacieśniać się, ani krępować niczem, tem bardziej, że wyznaniową instytucyę w duchu pokrewnym posiadamy oddawna, a jest nią zakład św. Magdaleny przy ul. Żytniej." W sposób nader oględny załatwił się tutaj kronikarz *Bibl. War.* z *formalną*, że tak powiemy, stroną winy p. P. W uwagach naszych zeszłotygodniowych nie tę stronę sprawy mieliśmy na względzie, chodziło nam o psychologiczną konstrukcyę czynu i dlatego też nasz chirurgiczny skalpel działał tak bezlitośnie. Dzisiaj zaś sąd nasz został uzupełnionym: p. P. przegrał proces w dwu instancyach. Czy mu pozostaje jeszcze trzecia, czy w tych surowych wyrokach są jakie otwory kasacyjne, najsolenniej wątpimy. W naszem skromnem mniemaniu pozostaje p. P. droga do najtajniejszych skrytek własnego, chrześciańskiego (nie hrabiowskiego) sumienia, a wtedy, sądzimy, rezultat tej samo-inkwizycyi skrystalizuje się w żałości i włosiennicy.

W każdym zaś razie jesteśmy przekonani, że zarzuty „B. W." dotkną p. P. bardzo boleśnie. Najgłębiej ranią nas bowiem zarzuty braci i najbardziej są śmiertelnemi strzały, z ich pochodzące kołczana. Jeżeli my, piszące o działalności p. P., wołamy: „Hands off!", to z wytwornie skrzywionych a świętobliwych ust wybiega jedno słówko — ot masoni! Ale jeżeli do naszego akordu potępienia dostraja się harmonijnie głos miesięcznika, podpisywanego przez ks. Michała Radziwiłła, tol... *Vous l'avez voulu George Dandin!*

FRANCISZEK TARCZYŃSKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 30 czerwca zmarł skromny pracownik, z zawodu nauczyciel kaligrafii i rysunków w gimnazyum żeńskiem w Płocku, z zamiłowania archeolog. Kiedy po nawałnicach, które przeszły nad jego młodością i wcześnie posrebrzyły jego włos, ale zahartowały charakter, osiadł na mieliźnie mazowieckiej, postanowił złożyć dowody miłości ziemi, która mu życie dała i zaczął zbierać starożytności. Przed kilku zaledwie miesiącami oprowadzał nas po swojem „muzeum" na poddaszu domu, gdzie każdy cal ściany i podłogi wyzyskany był na nagromadzenie obrazów, książek, ubiorów, numizmatów i gdzie nie było tylko miejsca dla wygodnego łóżka, stołu i krzeseł. W tym świecie żył starzec, na wiek swój rzeźki, wesoły, pełen nadziei i projektów, rad każdemu, kto chciał wraz z nim oddać się medytacyom historycznym. Tylko wielka miłość, jakieś wcale nie współczesne zaparcie się siebie, jakieś bohaterstwo poparte ascetyzmem bez granic mogło stworzyć to „płockie muzeum archeologiczne," którego mogłoby pozazdrościć konradowemu niejedno miasto pruskie, chełpiące się taką instytucyą, z tą drobną różnicą, że gdy tam działają w harmonijnym porządku i dobra wola jednostek i organy władzy a samorządu miejskiego, tutaj powstała ona mocą jednego człowieka, bakałarza i rządcy domu...

Od wielu lat Tarczyński zbierał materyały do mapy archeologicznej gub. Płockiej i w ostatnich kilku latach zaczął dzielić się rezultatami, swoich najczęściej osobiście w literalnem tego słowa znaczeniu dokonywanych poszukiwań. Miała z tych notatek powstać książka, obszerna i ważna, powszechnego a zasłużonego poparcia warta. Losy niedobre wytrąciły pióro z zastygłej dłoni. Na tydzień przed śmiercią rozpoczął poszukiwania archeologiczne w Romotowie, w pow. Sierpskiem i tu z łopatą w ręce skończył w znoju pędzone, ale z okiem w różowe świty wpatrzonem, pełne chwały i naśladowania godne dni swoje. „Białą szatą owiany" przeszedł życie. Niechaj żyje w pamięci potomnych!

S. P.

BADANIA NAUKOWE.

Teorye Gustawa Le Bon'a.

II.

Jeśli poddamy rzecz głębszej analizie, to okaże się, iż psychologiczny rodowód idei historycznej, to jest takiej, która na długo wyryła ślad swój w rocznikach historyi lub w swoim czasie mocno oddziałała na przebieg zdarzeń, jest zgoła odmienny. Trzeba raczej przyjąć, iż w masowym rozwoju stosunków stany uczuciowe, a więc pewne sympatye i antypatye, wyprzedzają ideę, która toruje jedynie drogę wyładowywania się dla tych, już nagromadzonych pierwiastków, a która, opanowując duszę ludzką, znajduje tam przygotowane dla swego krzewienia się podłoże. Dla przedstawienia tej strony mechanizmu szerzenia się idej poprzestaniemy na jednym tylko przykładzie, zaczerpniętym z dziejów sekciarstwa średniowiecznego. Wybieramy tam chętniej właśnie te zdarzenia dziejowe, ile że w zakresie studyów nad rozwojem sekciarstwa pospolity liberalizm wyprawia harce najniedorzeczniejsze: nie bada on co było i dlaczego było, ale raczej chełpliwie tryumfuje, że jego wyznawcy są tacy mądrzy, ludzie zaś, w przeszłości, byli tak ograniczeni i mordowali się nawzajem o to, czy sakrament ciała i krwi mają przyjmować pod jedną lub dwiema postaciami albo czy, chrzest otrzymany w niemowlęctwie, należy powtarzać w wieku dorosłym. Istotnie, walki te na pozór wyglądają nie zbyt pochlebnie dla umysłowości ludzkiej. Ale to tylko na pozór. Ludzie bowiem nie byli tak niewymownie ograniczeni nawet w okresie wieków średnich, jak liberalizm ich przedstawia. Każda epoka dziejów pisanych rozbrzmiewa antagonizmami. Strony walczące odwołu-

ją się dzisiaj do nauki. Ale w czasach średniowiecznych wiedza była nikłą okruszyną. Niepodobna było naonczas marzyć o rynsztunku naukowym. Istniała jedna tylko księga: pismo święte. Staje się ono więc arsenałem, dostarczającym argumentów dla wszystkich cichych a maluczkich. Każdy prąd społeczny wśród ludu jest skazany na to, ażeby przybrał szatę sekciarską. Obrzędy i dogmaty, dzielące w okresie średniowiecznym ludzi na wrogie obozy, były jedynie wierzchnim przyodziewkiem dla realniejszego jądra, czemś w rodzaju sztandarów bojowych, pod którymi wrogie zastępy idą do walki. Husyci np. żądają przyjmowania sakramentu ciała i krwi pod obu postaciami. Krzewienie się tego hasła dla G. Le Bon'a przedstawia się „jasno“: pewien fanatyk zyskał grono zwolenników, prześladowanie przyczyniło się do nadania mu sławy, suggestya zrobiła swoje, i ludzie, opętani ideą, która przeszła w uczucie, powstali przeciw kościołowi. Dla nas sprawa jest nieporównanie bardziej złożona. Ażeby pojąć wojny husyckie i duch, ożywiający heretyków, musimy poznać warunki, które dały im życie. Ujrzymy podczas takiego poszukiwania, że w Czechach ówczesnych istnieje silna władza feodalna, zcśrodkowująca się w ręku duchowieństwa niemieckiego. Wśród szlachty czeskiej, niższej i średniej, tli się niechęć przeciw tym przybyszom, panującym w jej ojczyznie, a ponieważ, jak rzekliśmy, stan duchowny przoduje wśród feodalizmu, więc uczucie to zwraca się przeciw niemu, wyszukuje ułomności jego, nienje postępowanie księży, oburza się na pogoń za dobrami doczesnemi. Antagonizm pomiędzy rdzenną szlachtą czeską a warstwą synekurzystów niemieckich przybiera z lekka zabarwienie wolnomyślności religijnej. Krytyka duchowieństwa jest jeszcze ostrzejszą a zjadliwszą wśród ludu, który więcej odczuwa jarzmo feodalno-duchowne. Czepia się ona przykładów ubóstwa i braterstwa, tak obficie rozsianych w piśmie świętem i z tego stanowiska poddaje naganie bogactwa i swawolę dostojników kościoła. Uczucia nienawiści i wogóle niechęci przeciw duchowieństwu mniej lub więcej napiętej, są więc rozproszone po całym kraju; stanowią one pokład niekiedy bezwiedny w duchowości tłumów, ale zarazem najrozleglejszy i najżywszy. Na nim myśl świadoma snuje swoją krytykę— jest to późniejszy pokład mniej ogólny i mniej napięty. Krytyka nie jest zwartą ani konsekwentną, ukrywa się w zaułkach życia domowego, obawia się jawności, chociaż tu i owdzie dosięga odruchowego a publicznego wypowiedzenia się, nieraz z błahego powodu, przy pobieraniu np. dziesięcin. Z biegiem czasu a wzrostem swawoli feodalizmu wyłuszczone pierwiastki potężnieją w mocy swojej i rozkrzewieniu, a więc i uczucia napół świadomo, i wybryki owego „nierządnego rozumu“ — *Hure Vernunft*, jak później dosadnie ubolewał Luter nad idącymi dalej, niż on reformatorami — i odruchy publiczne. Rdzeń krytyki, tj. działalności myśli świadomej, polega na porównywaniu, zresztą niesystematycznem i chwiejnem, stanów współczesnych z nastrojem, właściwym pierwotnym gminom chrześciańskim, w których kapłan był po za obrzędami równy innym wiernym, zatem niemiał żadnego publicznego mienia, przywiązanego do swojego stanowiska, a tylko jeden przymiot wyróżniał go od innych i oddawał w jego ręce obowiązki kapłańskie, mianowicie większe napięcie ekstazy i gorliwości. Wreszcie to, co tkwiło niewypowiedziane lub niesystematyzowane w mózgach licznej rzeszy, Hus formułuje i życiem swojem opłaca. Wierni, na znak równości z kapłanem, będą spożywali sakrament pański pod obu postaciami! Jest to w szacie religijnej hasło społeczne, żądające zniesienia feodalizmu duchowego. Znajduje ono powszechne przyjęcie w przygotowanych pokładach uczuciowych i w formacyach krytyki codziennej, a zarazem staje się dla nich punktem zbieżności i krystalizacyi. „Idea zamienia się na uczucie,“ rzekłby Le Bon, tj. wywołuje silniejsze uderzenie serca, budzi zapał, zyskuje oddanych wielbicieli. Formuła rozwoju i krzewienia się idei będzie więc według naszego pojmowania: *)

Iużne stany niechęci	niesystematyczna krytyka i czyny odruchowe	wyraźnie sformułowana idea	patryotyzm ideowy	świadome czyny

W splocie takich stanów duchowych dojrzewa wszelka idea historyczna **). Podłoże uczuciowe odgrywa olbrzymią rolę w jej dziejach. Inicyator pewnej idei jedynie streszcza rozpierzchłe i niejasne myśli krytyczne, zrodzone na takim gruncie, a skupiwszy je, jak wklęsłe zwierciadło w ognisku swojem promienie, stwarza hasło, które naodwrót szybko się krzewi, ponieważ jest „na czasie,“ odpowiada „duchowi“ jego. Wszelka idea, która pojawiła się, nie mając takiego podkładu pod sobą, pozostaje niepłodną i bezsilną. Przeciwnie, ilekroć wstrząsnęła społeczeństwem, świadczy, iż posiada takie podłoże. Ale z takiego jej rodowodu oraz wyznaczonego mechanizmu krzewienia się wynika jedna konsekwencya: ludzie, te narzędzia dziejów, są żywymi organizmami, które, otrzymując podnietę, winny ją odczuwać i odpowiadać naprzód odruchami, później świadomą ideą, wreszcie świadomą działalnością, a zatem czynić to według zasad, rządzących wogóle stosunkiem, jaki istnieje pomiędzy z zewnątrz przychodzącą podnietą a otrzymanem przez organizm wrażeniem. Weber i Fechner sformułowali prawo, znane pod ich nazwiskiem i głoszące, że kiedy napięcie pewnej podniety wzrasta w stosunku liczb, wówczas otrzymane wrażenie podnosi się w stosunku logarytmów tych liczb. Obojętną jest dla nas rzeczą, jakie poprawki nowsze poszukiwania w zakresie psychologii fizyologicznej wprowadziły do tej zasady, tem bardziej, iż i my sami bynajmniej nie uważamy się za uprawnionych stosować ją bezwzględnie w powyższem sformułowaniu do stosunków społecznych. Poprzestaniemy więc na zaznaczeniu, iż, mniejsza, w jak dalece dokładnym stopniu, ogarnia ona i dziedzinę wrażliwości społecznej, t. j. reagowania na pewną podnietę społeczną uczuciem i myślą krytyczną, a w dalszym ciągu zrozumienia wygłoszonej idei i wzmocnienia jej przywiązaniem i czynem (naturalnie, przypuszczamy, iż inne warunki, np. tężyzna antropologiczna danej grupy, są niezmienne). Ponieważ zdarzenia dziejowe są wynikiem wielu działających przyczyn, a wśród nich powyżej wyłożona należy do najnieuchwytniejszych, więc nie będziemy usiłowali poprzeć naszego twierdzenia odpowiednimi przykładami. W szkicu, przed wielu laty skreślonym ***), przytaczaliśmy butność włościaństwa średniowiecznego, odpowiadającego na względnie mniejszy ucisk pańszczyzniany sekciarstwem i żakeryami, oraz uległość późniejszych poddanych, bez odporu znoszących jarzmo daleko gorsze, jako świadectwa, przemawiające za tem, iż w sferze zjawisk społecznych obowiązuje zasada Weber-Fechnerowska. Nie posuniemy się dzisiaj do powtórzenia tego przykładu, bo także trzeba pamiętać, iż włościanin z okresu wieków XI—XVI nie przeżył jeszcze doboru, który z niego wydzielił najenergiczniejsze żywioły, a więc pod względem antropologicznym przedstawiał większe napięcie tężyzny.

L. K.

*) Nie wyzyskujemy dalszego rozłamu Husytów na dwie grupy, który ostatecznie wypływa z niejednakowości interesów pomiędzy szlachtą czeską a ludem. Ta będzie mniej krańcowa, a w dalszym rozwoju wypadków sprzymierzy się z władzą monarszą niemiecką przeciw bezwzględnościom odłamu ludowego..

**) Winniśmy tutaj wskazać prace Lestera Warda, usiłujące poddać rozbiorowi stosunek wzajemny pierwiastków duchowych w rozwoju społecznym. Wymieniamy jego prace, ponieważ sięgnęły one głębiej, niż inne przyczynki pospolitej socyologii, istoty sprężyn duchowych. Dzieła Warda uwydatniły całą siłę i zarazem bezsilność analizy, nieuwzględniającej czynników ekonomicznych.

***) Mianowicie *Idea a życie*, w dodatku do *Przeglądu Tygodniowego*, 1887.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Maryan Gawalewicz: *Znak zapytania*. Warszawa, 1900.

Treść ostatniej powieści p. Gawalewicza, napisanej w kształcie pamiętnika bohatera głównego, w osnowie jest nadzwyczaj prosta, nie obfituje też w uboczne szczegóły i dekoracye. Młody muzyk, Sewerek Włodowski, dla studyów artystycznych wyjeżdża do Włoch. Tymczasem tam w domu starszy znacznie od niego brat Karol poznaje niejaką p. Jadwigę Rajecką i oświadcza się o jej rękę. Dziutka, świeżo upieczona panna na wydaniu, uszczęśliwiona, że w wyścigu o męża ubiegła wszystkie swe koleżanki z pensyi, nie waha się ani chwili. Poznajemy tę parę jednocześnie z Sewerkiem w jej przedślubnej podróży, wraz z matką panny i jej wujem. Dziutka ma w sobie dużo kobiecości. Wogóle bohaterki p. Gawalewicza są nadzwyczaj kobiece. Narzeczony, starszy od niej o lat kilkanaście, zaczyna wykazywać zlekka swą władzę; panna jeszcze korzysta ze swych praw i swej wolności, jeszcze nazywa go nieznośnym nudziarzem (i prawda!), „ale zarazem i jakąś kocią, pokorną minką podaje mu rękę i szepcze: przepraszam.“

Pogoda pierwszych dni spotkania zachmurza się niebawem. Dziutka i Sewerek pokochali się. Źle. Karol pokochał narzeczoną głęboko, ten Karol, który Sewerkowi od jego lat najmłodszych zastępował ojca. Sewer wstępuje do klasztoru. Dziutka wychodzi za Karola i po kilkoletniem pożyciu małżeńskiem umiera z połogu. — Skąd tytuł utworu? Do czego stosować się może „znak zapytania“? Jest w tej powieści dramat psychologiczny, są zawikłania bez wyjścia. Pocośmy się spotkali, czemuśmy się spotkali za późno? — brzmią rozpacznie tony *warum* Schumana. Jest tu także zagadnienie etyczne i dążenie do praktycznego rozstrzygnięcia nieszczęśliwego pokrzyżowania się uczuć — i tu znowu ukazuje się przed nami znak zapytania w postaci bezradnych wykrzykników: co począć? jak skończyć? co wybrać? na co się zgodzić? Czy autor sam znalazł odpowiedź twierdzącą? Tu również położymy znak zapytania, nie niepokojąc się zresztą nazbyt tą wątpliwością. Tyle o etyce.

Jako dramat psychologiczny, utwór p. Gawalewicza szwankuje z tego względu, że psychologia jest tu nadzwyczaj upośledzona. Poprostu nie widzimy duszy w osobach głównych tego dramatu. Może to i lepiej, że autor unika rozwlekłości, nie wdając się w szczegółową analizę stopniowego rozwoju uczucia pomiędzy dwojgiem ludzi młodych. Wszystko tu się odbywa typowo. Żywe usposobienie, no i wiek, zbliża Dziutkę do Sewerka, ciągle są razem, a Karol, sensat, zanudzający swą powagą,

wszystkowiedztwem, wykładem *ex cathedra*. To się rozumie. Ale trzeba przecie, żeby miłość, co się tam jak złodziej wkradła, nabrała w oczach naszych jakiejś ceny; trzeba nam koniecznie pokochać tych dwoje ludzi. Ale za co? Co do Dziutki, najwydatniejszym jej rysem jest „kobiecość,“ owo „stawianie się“ przyszłemu władcy, a zarazem spoglądanie z boku, czy się miarka nie przebrała. Dobra z niej będzie żona! Zresztą dowiadujemy się, że dopiero Sewerek pierwszy się na niej poznał, bo nie uważa jej za dziecko. Ma to być oznaką pokrewieństwa dusz. Ten sam Sewerek powiedział Dziutce „rzecz bardzo prawdziwą, na którą nikt się nie zdobył,“ że jest „jak kamień, który trzeba pod światło oglądać, żeby zobaczyć, jakie w nim kolory grają, bo tak to ma tylko jedną barwę dla wszystkich.“ Więc dobrze, grają kolory, ale jakie? Et, co to nas ostatecznie obchodzi!

Powiedzenie Sewerka ma świadczyć nietylko o niepowszedniości natury Dziutki, lecz zarazem o głębokości samego spostrzegacza. Jakże mu do niej daleko! Podniosłość jego pojęć i uczuć ma się wyrażać w sporach z wujem Łagniewskim, który cynicznie myśli i mówi o kobietach. Zapewne, to nieładnie, cóż kiedy bohater w świątobliwem oburzeniu swojem jest tylko zaperzonym dzieciakiem. Swoją drogą, czemużby pensyonarce do serca nie miał przypaść, jeśli tak, jak ona, nieprzyzwoitość, oznakę złego wychowania, uważa za synonim niemoralności i gorszy się bez opamiętania aforyzmem wujka, że „miłość u kobiet przed ślubem zmienia cerę, a po ślubie kształty.“ Caca chłopczyk, grzeczne dziecko. Ba... aż tu na usta wypełza taki sobie, smakujący uśmieszek... Na usta czyje, bohatera czy autora? Szlachetność Sewerka ujawnia się w całym blasku w chwili, gdy postanawia usunąć się z drogi bratu. Bawi się on naówczas, aczkolwiek w Płoszowskiego, bo przecie i położenie od biedy pokrewne, szkoda tylko, że wzdycha do pomocy mamy, aby uporać się z „myślą-dręczycielką,“ i szkoda, że ani razu nie może wzbudzić w nas wiary, iż jest naprawdę człowiekiem dorosłym. Wreszcie zapragnął dać Dziutce *„wielki przykład* do naśladowania.“ Oho! aż tak! Sewerku, kochanie, wyrośnij wpierw na Seweryna! Jesteś niepowszednim (według zapewnień autora) muzykiem — no, może. Ale poetą byś nie był. Bo, patrz! gdy zachwycasz się wschodem słońca w górach, na jaką miarę się nastrajasz? Oto mówisz: „zdawało mi się, że siedzę w loży na jakiejś wspaniałej *feerie* i patrzę na scenę obstawioną dekoracyami“! Uważaj, jakie obrazy podsuwa ci wyobraźnia, jak potężne tony dobywa z twej piersi przepych zjawiska przyrodzonego! Jak z tego, co wielkie, czynisz rzecz małą i sztuczną! Jesteś artystą, a patrz, w jak trywialny sposób wyrażasz swe uczucie względem kochanki, nazywając ją „przyjacielem w spódnicy“! Być może, wielkim jest twój duch, ale spojrzyj, jak niewytworna jego szata! Dom wśród kwiatów i zieleni wydaje ci się biletem wizytowym, włożonym w bukiet; kochanka jest to dla ciebie Loreley, „która robi toaletę.“ Ach, te porównania, w toaletowym kierunku wyspecyalizowane, pozostawiają na stylu ślad, „jak muśnięcie palców na białym pluszu.“ A wielki przykład? Wstąpił do klasztoru, szczęście cudze położył przed swojem. To mu wolno. Ale dlaczego zaklął Dziutkę, by za Karola wyszła? Jaki *ona* ma obowiązek „poświęcania się“ i czy naprawdę w ten sposób uszczęśliwia się kogo? *Notabene*, jeśli Karol jest istotnie głęboko czującym człowiekiem, nie drewienkiem. A jeśli drewienkiem, jeśli w przeciągu lat kilku nic nie skombinował, to znowu — jaki sens ma cały ten dramat?

Tak się nam przedstawiają dwie główne osoby. To już rozstrzyga o całości wrażenia, bez względu na to, jakieby inne zalety czy wady mogło posiadać dzieło. Nie opuściły p. Gaw. w ostatnim utworze wierne jego towarzyszki — płaskość, szarzyzna, powszedniość, trzy siostrzyce z rękami skromnie złożonemi, z rozrzewnieniem zapatrzone w niebo, a zasłuchane w błogi szmer swych westchnień pobożnych.

A. Drogoszewski.

SPRAWY EKONOMICZNE

RURAL EXODUS.

VIII.

(Dokończenie).

Obejrzeliśmy chorego, postaraliśmy się oddzielne objawy powiązać; wyrobiliśmy sobie pojęcie o chorobie. Po dyagnozie — terapia i jak wszędzie dotychczas na całej przestrzeni poprzednich rozdziałów oglądamy się przedewszystkiem za przykładami, za „nauką o rzeczach“ wypróbowaną, doświadczoną. Nauczyciel— to i tutaj, ciągle jeszcze — Niemiec. Ów lekarz, z którym prowadził rozmowę korespondent *Kraju*, wskazywał przedewszystkiem na brak szpitali na prowincyi i domagał się reform w tym kierunku. Szpital jednak, acz najmniejszy i najskromniejszym tylko odpowiadający wymaganiom sanitarnym, kosztuje wiele i nie sądzimy wcale aby reforma taka dała się prędko i ilościowo dostatecznie w czyn wprowadzić. Przy szpitalu musi być lekarz — sprawa naturalnie bardzo kosztowna, felczer itd.; felczer sam jeden nie wystarcza zgoła, tem bardziej, że my wszyscy jesteśmy dość dobrze poinformowani co do natury moralnej owego wrzodu, któremu na imię „felczeryzm prowincyonalny.“ Po za tem każdy z nas chyba zgodzi się, że choremu potrzebna przedewszystkiem opieka kobieca. Zdarzało nam się słyszeć w sferach robotniczych niemieckich, że na wypadek choroby udają się o poradę i na stałe leczenie do katolickich szpitali, gdzie funkcyonują siostry miłosierdzia, a nie dozorcy szpitalni. Nie bardzo skorzy jesteśmy uwierzyć w wartość moralną zdrowego w pełni sił znajdującego się mężczyzny, który szuka warsztatu pracy w ponurej atmosferze szpitala i wnet przypominają się owe widoki z prosektoryum, gdzie służący wypijają spirytus, w którym przechowują się anatomiczne preparaty, albowiem i tu — w szpitalu — trzeba nietylko sprawności, zdrowia i siły, ale miłości i miłosierdzia przedewszystkiem. Widzimy to doskonale u Niemców. W krajach protestanckich, gdzie niema sióstr miłosierdzia, powstała instytucya dyakonis, mniej lub więcej mająca zastąpić siostry.

Niemcy oto dążą do tego, aby każda gmina wiejska posiadała jedną przynajmniej dozorczynię i jedną przynajmniej aptoczkę domową. W szlachetnem współzawodnictwie ubiegają się o spełnienie tego zadania liczne organizacye lecznicze i filantropijne niemieckie: kasy ubezpieczeń na wypadek starości i kalectwa, liczne organizacye zawodowe, kasy chorych, t. zw. patryotyczne stowarzyszenie kobiet *(der vaterländische Frauenverein)*. Ostatni w roku 1895 zwrócił szczególną uwagę na sprawę pomocy lekarskiej po wsiach; w 1898 roku polecił minister spraw wewnętrznych w Prusiech wszystkim landratom stale popierać starania stowarzyszenia, a wzmiankowane kasy chętnie udzielają różnych zapomóg instytucyom przez stowarzyszenia do życia powoływane. I tak w Prusiech Wschodnich urząd ubezpieczeniowy udziela pożyczek (3%) na budowę szpitali i po 10 marek zapomogi na każdą „gminną siostrę“ *(Gemeindeschwester)*. W Brandenburgii zapomoga ta wynosi 60 marek rocznie, na Pomorzu 100 marek, w Hanowerze 60 marek. W r. 1898 funkcyonowało ogółem 1,150 ewangielickich i katolickich sióstr, a koszty wyniosły z górą 200 tysięcy marek. I sami pracodawcy gdzieniegdzie nie chcieli pozostać w tyle: w Anhalt stowarzyszenie pracodawców stosuje na własny rachunek pomoc przez dyakonisy wykonywaną; po wsiach ordynują „siostry gminne“; chorzy, leczący się w domu, otrzymują pomoc w naturze.

Samorządy prowincyonalne coraz częściej wprowadzają do swoich zamierzeń budżetowych sumy przeznaczone na rzecz urządzeń leczniczych wiejskich i tak: w Księstwie Sasko - Wejmarskiem w r. 1899 przeznaczono na ten cel 150 tysięcy marek, w Księstwie Badeńskiem także suma przeznaczona została na rzecz szpitalnictwa wiejskiego. W temże księstwie istnieją dwie specyalne fundacye t. zw.: „Friedrichsspende,“ która udziela zapomóg biedniejszym gminom wiejskim na cele sanitarne, druga zaś t. zw. „Unterstützungsfonds“ daje zapomogi na utrzymywanie dozorczyń. W jaki sposób dają się różne organizacye filantropijne i komunalne wyzyskać na rzecz chorych wiejskich daje przykład ks. Apel (w czasop. *Das Land*, VIII nr. 3), który, organizując pomoc lekarską w swojej parafii Odagsen, otrzymał: z kasy kościelnej 150 marek, z kas gminnych 270 m., od zarządu powiatowego 60 m., od kasy ubezp. na wypadek kalectwa 60 marek, od stowarzyszenia kobiet prowincyonalnych (Provincial-Frauenverein) 60 m., od osób prywatnych 50 m., od dwu sąsiednich parafij 100 m., patryotyczne stronnictwo kobiet przysłało 300 m.

Zdolności organizacyjne niemieckie i tutaj znalazły pole do popisu. Mianowicie radca regencyjny z Oldenburga, Dittmann, wystąpił w roku 1899 z projektem organizacyi pomocy lekarskiej dla całego cesarstwa Niemieckiego. Każda gmina czyni starania, aby własnemi siłami założyć u siebie stacyę ratunkową, o ile środki nie starczą, przychodzi w pomoc najbliższy zarząd powiatowy. Ten ostatni zajmuje się podziałem powiatu na okręgi lecznicze, stara się o wykształcenie dozorczyń sanitarnych, sprowadza środki opatrunkowe itd. Środowiskiem zaś całej działalności jest prowincya, która ogniskuje całą działalność sanitarną, stara jej się nadać jednolity charakter, wpływać na bieg prawodawstwa itd. Taka ogromna organizacya oprze się na istniejących już urządzeniach dobroczynnych, nie będzie paraliżowała ich działalności, ale przeciwnie ujednostajni ją i istotnie może przynieść niezmiernie poważne owoce. Według projektu autora ma ona nosić charakter czysto filantropijny i służyć ludności niemieckiej bez różnicy wyznań.

Należy nam wrócić jeszcze na chwilę do poruszonej poprzednio kwestyi dozoru sanitarnego i udziału w niem sióstr miłosierdzia. W katolickich dzielnicach niemieckich znajdujemy ich dość wiele: i tak w dyecezyi trewirskiej jest ich 85 rozrzuconych po wsiach, w badeńskiem takich stacyj ratunkowych liczą 132, w archidyecezyi kolońskiej 128 stacyj z udziałem 600 sióstr.

Dobrze zorganizowaną pomoc lekarską posiada obwód powiatowy Królewiecki, który liczy 4 szpitale o 48 łóżkach oraz 16 dyakonis, rozrzuconych po całej okolicy. Siostra przyjmuje codziennie chorych na miejscu, objeżdża okoliczne wioski. W roku 1896 liczono w szpitalach 5,913 dni instytutowych i 25 tysięcy wizyt po domach. W ostatnich czasach powstają podobne organizacye w nader wielu oko-

licach Niemiec; pełno o nich wiadomości zawierają czasopisma ludowe; wszystko to jednak są dopiero początki, którym można rokować dobrą przyszłość, ale o których dziś nic pewnego powiedzieć nie sposób.

Stowarzyszenie kobiece w Księstwie Badeńskiem zajmuje się od roku 1885 kształceniem kobiet wiejskich na pomocnice sanitarne po gminach. W Karlsruhe urządzono w głównym szpitalu sześciotygodniowy kurs przygotowywania wieśniaczek pod względem teoretycznym i praktycznym do zawodu pomocnic, pielęgnowania chorych, przygotowywania jadła itd. Następnie 6 tygodni spędzają w czterech szpitalach na praktyce, poczem bywają osadzane po wsiach, z których pochodzą i otrzymują bądź stałe, bądź też czasowe wynagrodzenie (100—570 marek). W Hanowerskim pastor Lühmann na własną rękę probował założyć podobne kursy w Sittensen: miejscowe włościanki w wieku 36—50 lat uczą się przez 6 miesięcy pielęgnowania chorych w Hanowerze, a następnie wracają do dawnego zajęcia i przy sposobności spożytkowują swoje znajomości. Dozorczynie takie posiada 30 wsi. Koszt wykształcenia wynosi od osoby 150—180 mr. Podobne urządzenia istnieją w protestanckich częściach Niemiec, w różnych miejscach, przyczem dozorczynie otrzymują wykształcenie w Berlinie, Wrocławiu i in. miastach uniwersyteckich. Wielka organizacya filantropijna katolickich Niemiec — *Charitas-Verband*, posiada organizacyę dobrowolnie i bezpłatnie leczących kobiet. Dziewczęta wiejskie (stale 15, w wieku 25—45 lat) otrzymują naukę teoretyczną przez 14 dni w klasztorze Arenberg pod Koblencyą; dalsze 14 dni spędzają na praktyce w kilku szpitalach nadreńskich. Po powrocie do domu obowiązane są na każde zawołanie, bez wszelkiej opłaty nieść pomoc współmieszkańcom bez różnicy stanu i wyznania; otrzymują drukowane wskazówki leczenia wszelkiego rodzaju chorób, prowadzą stały wykaz pomocy i zawiadują apteczką; koszt nauki i urządzenia apteki wynosi 150 mr.

Jeszcze kilka słów o środkach leczniczych i lekarstwach. Pierwszy, który wpadł na myśl urządzenia apteczki wiejskiej, był to włościanin Jakobsen w Norderbrarup-Angen; w celu uczczenia pamięci swojej córki utworzył on specyalną fundacyę imienia Małgorzaty i postanowił, aby każda gmina jego ojczyzny otrzymywała narzędzia i środki lecznicze tytułem darmym; sam zakupił wszystko co było potrzebnem i urządził szafę opatrunkową. Gminy obowiązują się tylko utrzymywać dar w należytym porządku i odkupywać przedmioty zniszczone. Do każdej „szafy opatrunkowej,“ prócz poduszek gumowych, aparatów inhalacyjnych, całego arsenału szpryc, termometrów, dodaje się 2 wanny. Fundacyą zawiadują zarządy kościelne. Obecnie „szafy“ posiada 40 miejscowości; urządzenie jednorazowe kosztuje około 200 marek. W Ks. Wirtemberskiem zorganizowało się stowarzyszenie zakładania podobnych apteczek wiejskich w r. 1898 pod protektoratem królowej.

Oto na jak liczny szereg poszczególnych kwestyj i kwestyjek rozkłada się wielka i ważna kwestya pomocy lekarskiej na wsi. Oto jak szerokie zakreśla sobie zadania. *Allons travailler!*

Zen. Por.

NASZE STOSUNKI PRZEMYSŁOWE.

(Dokończenie).

Autor opisuje w dalszym ciągu w krótkim zarysie powstanie przemysłu miejskiego (prawa magdeburskie), oraz szczegółowiej epokę wspaniałego rozkwitu przemysłowego w w. XVI i XVII. Egoizm zaborczy szlachty, która, odarłszy „majestat królewski“ z wszelkiej władzy, ssie i gnębi stan miejski, z drugiej zaś strony najazdy, wojny i klęski żywiołowe rujnują miasta i przemysł, tak iż w końcu XVII i początku XVIII w. z owego świetnie rozwiniętego życia przemysłowego nie pozostaje nic prawie.

Dalej autor przebiega usiłowania Stanisława Augusta, skierowane ku obudzeniu przemysłu i podniesieniu dobrobytu miast, opowiada dzieje pierwszego w Polsce towarzystwa akcyjnego, Kompanii manufaktur wełnianych, powstałej w 1766 r., a rozwiązanej w 1770, szkicuje działalność Tyzenhauza, Jacka Jezierskiego, magnateryi, szlachty i mieszczan, oraz zbyt cieniowymi tylko rysami charakteryzuje przyczyny nieudania się wszystkich prób i usiłowań w tym względzie i ostatecznego upadku przemysłu przed końcem stulecia.

Tu autorowi zarzucić należy, że za mało pogłębił kwestyę i nie zwrócił uwagi na przyczynę najgłówniejszą. Mówiąc o upadku czy to Kompanii manuf. wełn., czy fabryk Tyzenhauza w Horodnicy i Łosośnie, czy innych, autor idzie za zdaniem Tadeusza Korzona, dopatrując przyczyn upadku w niezręcznem kierownictwie, nieumiejętności dobierania ludzi godnych zaufania, braku przygotowania technicznego itp. Pan R. nie uwzględnia okoliczności podstawowej. Przyczyna bowiem nieudania się prób zaszczepienia przemysłu spoczywała w całokształcie ówczesnych stosunków społecznych, stanowiących zaprzeczenie niezbędnego warunku szerszego rozwoju przemysłowego — mianowicie zasady wolności pracy. Ludność wiejska, jako niewyczerpane źródło zasilające dziś przemysł i fabryki rękami do pracy, wówczas nierozerwalnie przykutą była do ziemi. Na miejscu robotnika nie było, zaprzęganie do pracy w fabrykach magnackich ludności poddańczo-pańszczyźnianej szerzej zastosować się nie dało, a sprowadzanych z za granicy majstrów i czeladników opłacać musiano zbyt drogo. Na takiem tle rozwijane i podtrzymywane sztucznie życie przemysłowe mogło czas jakiś czynić wrażenie pozornego życia, ale w podstawach swych kryło pierwiastki grożącego mu upadku. Podstawy bytu i rozwoju dać mu mogły jedynie gruntowne reformy społeczne, tylko zniesienie poddaństwa, czyli zupełne uwłasnowolnienie mas ludowych. Wypadki polityczne sprowadziły upadek ostateczny tego sztucznie i mozolnie wznoszonego gmachu.

Wiek XIX-ty zmarnowaną robotę XVIII-go rozpoczynać musiał na nowo. Usiłowania, podejmowane w tym kierunku za czasów Księstwa Warszawskiego i następnie Królestwa Kongresowego, p. R. opisuje dość szczegółowo, zwłaszcza działalność dwóch wybitnych jednostek z pierwszej połowy bieżącego stulecia: ministra księcia Druckiego-Lubeckiego i przemysłowca Steinkellera.

W podziale dziejów przemysłu w stuleciu bieżącem na okresy, p. Radz. trzyma się klasyfikacyi mniej więcej tej samej, co pani R. Luxemburg. Za punkt graniczny pomiędzy okresem wstępnym, przygotowawczym, zaznaczonym głównie działalnością rządu krajowego i Banku Polskiego, a okresem drugim, noszącym znamiona przejścia od produkcyi rękodzielniczej do wielkoprzemysłowej, obydwaj autorowie uważają rok 1850. Jest to chwila zniesienia granicy celnej pomiędzy Królestwem a Cesarstwem i otwarcia przed polskim przemysłem niezmiernie rozległych rynków zbytu. Pod wpływem przeważnym tego czynnika, następnie zaś rozwoju sieci kolejowej, rozwijają się liczne gałęzie przemysłu, wzrasta produkcya, unaocznia się coraz wyraźniej centralizacya wielkoprzemysłowa, rosną rozmiary jednostki wytwórczej, fabryki. Przemysł staje na stopie kapitalistycznej i w tym kierunku odbywa się w szybkiem tempie dalszy jego pochód.

Za chwilę decydującą dla odróżnienia epoki „przejściowej“ od okresu wyraźnego skrystalizowania się *przemysłu wielkiego* p. Radziszewski uważa rok 1877, datę ważnych reform celnych w duchu protekcyjnym. W oznaczeniu tej chwili p. R. różni się z panią Luxemburg, która za chwilę taką uważa rok 1870. Różnica to małoznaczna, jeśli zważymy, iż w rozwoju społecznym przejścia od danego okresu do następnego nie odbywają się nigdy gwałtownie, że wiele pozostałych lub ginących cech okresu poprzedniego da się dostrzedz w następnym, i naodwrót, wszelka niższa lub wcześniejsza faza ewolucyjna zawiera pierwiastki i składniki, będące zwiastunami nowej i wyższej. W danym wypadku cały okres 1870—77 i kilka nawet lat następnych, w których ciągu ujawniły się ostatecznie i głęboko skutki rozwoju komunikacyi i protekcyi celnej — uważać należy za ów słup graniczny, świadczący o przejściu z fazy kształtowania się produkcyi kapitalistycznej do okresu jej bezwzględnego panowania.

Opierając się na danych urzędowych i podnosząc je nieco, autor oznacza wielkość, raczej wartość produkcyi całego przemysłu Królestwa Polskiego w r. 1896 na 340—350 mil. rub. (urzędownie 294 mil. rub.). Względnie do liczby ludności na 1 mieszkańca Królestwa wypadało przeciętnie 31 rb. Porównywając tę cyfrę z wyliczeniami dr. Banzemera dla r. 1880, gdy na 1 mieszkańca wypadać miało około 30 rb., p. R. wnioskuje, że „wzrost dotychczasowy Królestwa od r. 1880 do 1896 odbywał się w stosunku do wzrostu ludności w tejże epoce.“ Tu autor popełnił błąd bardzo dotkliwy. Dr. Banzemer wyprowadził swoją przeciętną, podniósłszy wartość urzędową produkcyi (171 mil. rb. w r. 1880) do 200 mil. rb. Wobec 7 mil. mieszkańców czyniło to istotnie około 30 rb. na 1 mieszkańca. Tej samej metody należało się trzymać wobec danych 1896 r. *). Oceniając produkcyę 1896 r. na 350 mil. rubli, otrzymamy przeciętną na 1 mieszkańca $37\frac{1}{2}$ rb. Dzisiaj — jeśli wartość produkcyi obliczymy na pół miliarda rubli, a ludność Królestwa Polskiego na 10 milionów m., otrzymamy *na 1 mieszkańca około 50 rubli wart. prod.* Dane te stwierdzają (wbrew wnioskowi p. R.), że przemysł rozwijał się znacznie szybciej, niż wzrastała ludność: w okresie 1880—1896 r. ludność wzrosła o 34,3%, a wartość produkcyi o 75%, a w okresie 1880—1900 ludność wzrosła o 43%, a wartość prod. o 150%.

W dalszym ciągu swej pracy autor charakteryzuje bliżej poszczególne gałęzie przemysłu za lata 1876 i 1896, dzieląc je na trzy wielkie grupy: przemysł przerabiający surowe płody rolnictwa, przemysł tkacki i przemysł górniczy. Dobrą stronę tej części pracy stanowią tablice porównawcze dla poszczególnych gubernij, co pozwala na oryentowanie się w wytwórczości każdej z nich w każdym dziale produkcyi. Znajdujemy również krótką charakterystykę Łodzi, jako ogniska przemysłowego, oraz zestawienie szczegółowe produkcyi fabrycznej i rzemieślniczej, które, nie oświetlone krytycznie, upoważnia autora do wyprowadzenia błędnego wniosku, jakoby Warszawa była miastem przeważnie rzemieślniczem i drobnoprzemysłowem.

*) Za zasadę podwyższania przez statystyków cyfr urzędowych wartości produkcyi i ilości robotników (zwykle o $\frac{1}{4}$), służy fakt ogólnie znanej niecheci fabrykantów do informowania w drodze urzędowej o dokładnej sumie produkcyi rocznej zakładów i ilości robotników. Metodę „podwyższania“ wprowadził profesor Załeski w „Statystyce porów. Król. Pol.“ Metody tej p. R. w swej pracy się nie trzyma, operując cyframi urzędowemi.

„Przychodzimy do wniosku—pisze autor w zakończeniu swej pracy — że ludność Królestwa rośnie szalenie szybko i że kontyngens ludności miejskiej jest tu bardzo znaczny; gdy zaś do tego dodamy fakt istnienia niezmiernie licznego zastępu bezrolnych — dojdziemy do przekonania, że Królestwo Polskie bez rozgałęzionego przemysłu nie byłoby w stanie wyżywić się, że mnóstwo, coraz więcej rąk byłoby bezczynnych, że, jednem słowem, rozwój życia przemysłowego jest koniecznością bezwzględną.“ Autor zdaje się odczuwać czy uznawać dziejową rolę przemysłu wielkiego, atoli uznaje ją „z bólem serca“ i co chwila wzdycha „do tych szczęśliwych czasów, kiedy sprawa kapitalizmu jeszcze nie istniała,“ gdy gospodarka naturalna kazała płacić młynarzowi nie gotówką, według cen stałych, lecz zbożem i mąką według jego widzimisię itd. Autor widzi postępyześrodkowania przemysłowego we wszystkich niemal gałęziach produkcyi, chciałby je jednak powstrzymać i przeciwdziałać im, gdzie się da i wszelkimi możliwymi środkami.

Pewnego rodzaju doktrynerzym drobnomieszczański pod tym względem prowadzi autora niekiedy bardzo daleko. Tak, zachęcając do stworzenia wzdłuż kolei Dąbrowskiej przemysłu tkackiego i rozrzucenia warsztatów wśród ludności włościańskiej, autor zapomnia, że przemysł taki powinien się ostać wobec kapitalizmu i maszyn, i przytacza jako dowód, iż „przemysł ten, że się tak wyrażę, „patryarchalny“ i *bezsprzecznie pod względem społecznym najbardziej pożyteczny*, istnieje przecież nawet w samym ognisku produkcyi, w Łodzi, i gra rolę wybitną (??).“ Otóż zauważmy, iż powołany przez p. R. model przemysłu drobnego, utrzymujący się w okolicach Łodzi, Pabianic, Zgierza itd. w charakterze pomocniczym dla fabryk wielkich i stanowiący domową formę produkcyi kapitalistycznej, jest wprawdzie „patryarchalnym,“ gdyż zatrudnia nieraz całą rodzinę, nawet drobne trzyletnie dzieci, jednak jest *bezsprzecznie społecznie najbardziej szkodliwym*. Takie rodziny tkaczy (lonwebry), pracują na zamówienie pośredników, doprowadzających wyzysk do niemożliwych granic. Niema tu dostępu inspekcya fabryczna, praca więc trwa po 16, 18 i więcej godzin na dobę w najgorszych warunkach hygienicznych, w dzień i w nocy. Tylko dzięki tym ubocznym, nienormalnym okolicznościom przemysł ten utrzymuje się przy życiu, acz ciężką toczy walkę z fabrycznym. Wogóle co do stanowiska autora, charakteryzuje je jak gdyby mieszanina zmodernizowanego konserwatyzmu z pewnego rodzaju humanitaryzmem, z hasłami drobnomieszczańskiemi, pragnieniami produkcyi wielkiej, i nawet westchnieniami „retrospektywnemi.“ Często zauważyć się daje u autora pewien optymizm czy idealizm, który dałby się usprawiedliwić tylko wtedy, gdyby autor był conajmniej na miejscu księcia Lubeckiego. Widzimy to tam, gdzie autor doradza stwarzanie nowych gałęzi przemysłu, zmianę kierunku wytwórczości itd.

Przytoczyliśmy główne, bardziej charakterystyczne usterki pracy p. Radziszewskiego. O mniejszych wspominać nie będziemy. Każda praca tego rodzaju, zwłaszcza oparta na danych tak niepewnych, posiadać je musi. Pomimo to jednak praca ta, jako zapoznająca nas bliżej z doniosłą dziedziną naszego życia, traktująca przedmiot poważnie, szeroko w pewnem znaczeniu wyczerpująco, wyróżniająca się dodatnio na niwie naszej literatury ekonomicznej, wogóle nader ubogiej w znacznym stopniu kompilacyjnej lub urywkowej, zajmie miejsce poważne, a jej autor zdobył sobie zasługę niezaprzeczoną.

Stanisław Koszutski.

O prawdę

W nr. 10 *Prawdy* z d. 10 marca zamieściliśmy artykuł p. t. „Ostatnia przemiana Nossiga,“ w którym krytycznie rozpatrzona została najnowsza działalność publicystyczna tego autora. Na artykuł ten obecnie dopiero otrzymaliśmy odpowiedź. Tyle już czasu upłynęło od owej chwili, że nie możemy przypuszczać, aby czytelnicy przypominali sobie cały bieg naszego rozumowania i całkowitą argumentacyę surowego niewątpliwie wyroku. Zamieszczając dzisiaj spóźnioną odpowiedź dotkniętego autora, bylibyśmy obowiązani czytelnikowi, o ileby zechciał artykuł nasz z repliką p. Nossiga porównać. Jest to nawet poniekąd koniecznem gwoli zrozumienia niektórych zawiłych dyalektycznych fresków obrony.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 10 *Prawdy* pojawił się artykuł p. t. „Ostatnia przemiana p. Nossiga,“ którego autor rozbiera ostatnią pracę mą „Polityka pokoju powszechnego“ i ukryty pod płaszczykiem bezimienności ciska na mnie najcięższemi obelgami. Spodziewam się, Szanowny Panie, że zechcesz przyjąć tych kilka słów odpowiedzi na artykuł ów i że *Prawda* nie posunie braku kurtoazyi literackiej wobec dawnego współpracownika tak daleko, jak *Kuryer Warszawski*, który wystąpiwszy również z artykułem ciężko mnie krzywdzącym, odmówił mi wszelkiej sposobności do obrony.

Przedewszystkiem niechaj mi wolno będzie wytłomaczyć, dlaczego dziś dopiero odpowiadam na artykuł ów, niemal w trzy miesiące po pojawieniu się jego. Stało się to poprostu dlatego, że mimo usilnych starań nie mogłem wcześniej otrzymać odnośnego numeru *Prawdy*. Gdy mi doniesiono o pojawieniu się owej ostrej krytyki w *Prawdzie* zwróciłem się do redakcyi z prośbą o nadesłanie mi jej; odpowiedziano mi, że numer ów jest wyczerpanym. Dziś dopiero, dzięki zabiegom życzliwej mi osoby, która postarała się o numer „wyczerpany,“ przeczytałem napół z żalem, napół z uśmiechem, sprawozdanie o haniebnej mej „przemianie.“

Tak, szanowny autorze bezimienny, z żalem i z uśmiechem. Z żalem, że za pracę uczciwie pomyślaną odmówiłeś mnie od czci i wiary; z uśmiechem, żeś to uczynił bezimiennie. „C'est le moment de nous montrer: cachons nous!“ Z żalem, że u nas do tego stopnia liczyć można na łatwowierność publiczną, że podsunięcie autorowi tendencyi wprost sprzecznej z jego myślami jest możliwem; z uśmiechem, że skorzystano z tak wielką pochopnością z *pozoru* sposobności, aby obrzucić błotem człowieka, który był i będzie zawsze najwierniejszym przyjacielem społeczeństwa polskiego, a którego wina w tem głównie polega, że ośmiela się być innym nieco, niż inni, że kroczy własnemi drogami ku własnym celom, oddalonym może i nie dla każdego widocznym, słowem, że według myśli Pindara pragnie stać się, czem jest.

Wybacz mi, szanowny autorze, że napisałem książkę o hygienie, chociaż znałeś mnie pierwotnie jako dramatopisarza, i odpuść mi rzeźby me, modelowane z niesłychaną zuchwałością w chwili, w której ogłaszałem prace o polityce agrarnej. Zapomnij o tych wybrykach, które — przyznaję — w państwach o wyższej kulturze powinnyby być policyjnie wzbronione (najlepszym środkiem byłoby wznowienie cechów); pomówmy o największym mym grzechu, o polityczcnej mej broszurce, o „Polityce pokoju powszechnego.“

Już sam tytuł wskazuje, że szło mi w pracy tej o wskazanie drogi do urzeczywistnienia jednego z najpiękniejszych marzeń ludzkości. Wolno krytykowi nazwać dążenia te oklepanemi, ale nie wolno zarzucać obrońcy ich, że sprzeniewierzył się kierunkowi idealnemu. Prawda, że proponuję podjęcie starań o pokój wieczysty na nowej podstawie, na podstawie polityki realnej, ale w tem właśnie, mniemam, polega wartość pracy mej: kazania na temat miłości bliźniego okazały się dotychczas bezskutecznemi w zakresie stosunków międzynarodowych; chcąc więc dojść do wyników praktycznych trzeba posługiwać się środkami czysto-politycznymi, odpowiadającemi obecnej dobie historycznej. Broszura ma zawiera dwie główne myśli tego rodzaju, dwie propozycye praktyczne, jasno sformułowane: 1) Do utrwalenia pokoju powszechnego dążyć należy — *na razie*— nie drogą rozbrojenia, gdyż na takowe mocarstwa się nie zgodzą, lecz drogą rozzbrojenia i koalicyj, paraliżujących apetyty państw zaborczych. 2) Koalicyą, dającą najsilniejszą gwarancyę trwałego pokoju byłaby liga europejskich mocarstw kontynentalnych. Taki jedynie alians powstrzymałby Anglię w zaborczym jej pochodzie, w wzniecaniu wojen bezustannych. Liga kontynentalna może atoli dojść do skutku jedynie na podstawie pojednania się Francyi z Niemcami. By takowe umożliwić, Niemcy powinny odszkodować Francyę za utratę Alzacyi i Lotaryngii ustępstwami w wschodnio afrykańskim zakresie kolonialnym.

Czytelnik nieuprzedzony przyzna, iż w rozumowaniu tem nie ma nic, coby się sprzeciwiało ideom dawniej przeze mnie wyznawanym, myśli postępu ludzkości, zbratania ludów i sprawiedliwości powszechnej. Właściwa tendencya broszury mej występuje najjaśniej w ustępie, streszczającym dalsze skutki proponowanej przeze mnie polityki pokojowej (str. 9). „Aczkolwiek polityka pokojowa nie obiecuje bezzwłocznej likwidacyi wszystkich rachunków historycznych, to jednak pod wpływem jej wytworzy się z czasem atmosfera, w której wszystkie słuszne pretensye będą musiały być uznane. Wówczas wszelki ucisk wydawać się będzie politycznym anachronizmem. To, czego nie ruszy polityka mocarstw, dokonanem będzie kiedyś przez ludy autonomiczne.“

I tę to pracę, będącą manifestem opinii niezawisłej, światopoglądu na wskroś postępowego, krytyk *Prawdy* i *Kuryera Warszawskiego* naznaczył jako służalczą i reakcyjną, napisaną w wyłącznym interesie Niemiec. Dzięki uprzejmości berlińskiego korespondenta *Gazety Lwowskiej*, dr. Z. G. który kwestyonował mnie w sprawie broszury mej, miałem już sposobność oświadczyć, że podobne pojęcie, o ile nie wypływa z złej woli, opierać się może jedynie na całkowitej nieznajomości stosunków niemieckich „Propozycya ma — powiedziałem wówczas — jest w interesie Francyi i w interesie pokoju powszechnego, ale bynajmniej nie w interesie Niemiec. Zarówno rząd, jak przeważna część prasy są jej przeciwne. Ktokolwiek zna stosunki niemieckie, zrozumie, że wystąpić z myślą odszkodowania za Alzacyę, stanowi nie akt służalstwa, lecz przeciwnie, akt odwagi cywilnej.“ Jak dalece mylnem jest pojęcie krytyka *Prawdy* i jaką jest właściwa tendencya broszury mej, tego dowodzi najlepiej znalezienie się opinii niemieckiej i francuskiej wobec takowej. Prasa niemiecka począwszy od *Vossische Zeitung* a skończywszy na organach prowincyonalnych, jak jeden mąż uderzyła na tę pracę, piętnując myśl odszkodowania Francyi, jako obrazę dla narodu niemieckiego. Opinia francuska przeciwnie, o ile w tak drażliwej kwestyi odezwać się śmiała, przyjęła broszurę mą życzliwie, po części nawet z entuzyazmem. Przypominam interwiew, który ogłosił w *Independance Belge* p. Ange Morre. Niechaj mi też wolno będzie przytoczyć ustęp z listu p. A. Topina, profesora wszechnicy, który prosił mnie o prawo przełożenia „Polityki pokoju“ na język francuski: „Wielu przyjaciół mych, publicystów i polityków, którzy czytali broszurę pańską, nie szczędziło jej uznania i pochwał. Zapewniam pana, że praca ta znalazłaby odgłos w całej Francyi. Siałeś pan wielkie idee w Niemczech: trzeba, by takowe zapuściły korzenie i rozwijały się też we Francyi i w świecie całym.“

Otóż zapytuję ludzi dobrej wiary, czy broszura ma mogła zawierać tendencye, podsunięte mi przez krytyka *Prawdy*, jeśli spotkała się z takiem przyjęciem we Francyi?

(D. n.)

Administracya PRAWDY od dnia dzisiejszego mieścić się będzie przy ulicy Sadowej nr. 14.

KRONIKA.

Misyonarze w Chinach stanowią według statystyki Watykanu poważną grupę 759 katolickich kapłanów europejskich, którzy wraz z 409 kapłanami pochodzenia miejscowego służą potrzebom duchownym 532,448 tubylczych katolików. Ilość kościołów i kaplic wynosi w Chinach 3,930, seminaryów 49 i szkół 2,913. Prócz tego działają liczne kongregacye religijne męzkie i żeńskie.

Prasa. Główny zarząd do spraw prasowych udzielił koncesyi p. Peszkiemu na wydawanie w Warszawie tygodnika p. t. *Przegląd Chemiczny.*

Stowarzyszenia w Finlandyi. *Russkija Wied* piszą: „Krąży pogłoska, że ma nastąpić w Finlandyi ograniczenie wolności zgromadzeń. W tym celu senat opracował projekt przepisów, czyniąc zarazem starania, aby projekt ten oddano do rozpatrzenia sejmowi. Starania te, jak mówią, nie zostały uwzględnione, tak, iż przepisy ogłoszone będą z pominięciem sejmu."

Katastrofy. Dnia 3 lipca zawalił się gzems w nowych gmachach politechniki, strzaskał rusztowanie i ciężko zranił 13 robotników; dwu zmarło.

— Spaliły się warsztaty okrętowe Lloyda północno-niemieckiego w Hoboken pod New-Yorkiem. Zginęło 400 osób. Straty materyalne olbrzymie — podobno około 20 milionów dolarów. Hamburskie Towarzystwo żeglugi wysadziło swą przystań dynamitem i zapobiegło w ten sposób szerzeniu się ognia.

— Pożar w przemysłowych zakładach putiłowskich poczynił spustoszenia przeszło na 4,000,000 rubli.

Zmarli. Al. Jonin, poseł rosyjski w Szwajcaryi, ur. 1837 r.; od 1883—1889 był posłem w Rio de Janeiro i zużytkował czas spędzony w południowej Ameryce na opis swoich podróży, które wydał w trzech tomach: „Przez Południową Amerykę" (przekł. niemiecki Pezolda: „Durch Südamerika, Reise — und kultur historische Bilder," 1895).

— Henryk Bonnet, członek sądu okręgowego warszawskiego, zmarł w 60 roku życia. Był to człowiek powszechnie szanowany, a jako prawnik posiadał sławę dzielnego cywilisty, któremu powierzano sprawy zawiłe do zadecydowania. Ukończywszy uniwersytet petersburski w r. 1862. Bonnet aplikował w b. trybunale cywilnym, w r. 1865 został mianowany pisarzem b. sądu policyi poprawczej, następnie asesorem prokuratoryi, której z czasem został radcą. W r. 1883 został członkiem sądu okręgowego w wydziale cywilnym.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu M. Z. w M. 1) Wyrażenie błędne: „mniej, niż połowa; więcej, niż połowa"; „mniejsza część albo większa część." 2) Przekładu dzieł zbiorowych niema; najlepsze przekłady dali w ostatnich czasach: Porębowicz (Don Juan, 1895), Jezierski, Kasprowicz („Bibl. najc. utw.," 1895). Bliższe wskazówki znajdzie Pan w artykułach Chmielowskiego („Bibl. najc. utw.," 1895) i Matuszewskiego. Byron po polsku („Bibl. warsz.," 1896).

Panu „S" we Lwowie. „Sarkofagi" zamieścimy. Reszta do zwrotu.

Panu Janowi W. „Fijołki" do zwrotu. Jednak pracować należy. Może następne będą lepsze.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Іюня 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.